Nr. 16. 19. Czerwca 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całorocz. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całorocz. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w. a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

TOWARZYSTWO NAUKOWE KRAKOWSKIE.

II.

Wskrzesiciel i burzyciele.

Zapytywaliśmy się w poprzednich uwagach naszych nad losami puścizny Piastów i Jagiellonów: gdzie jest dawny jej duch? — gdzie jest Stanisław który wskrzesi tego Piotrowina, by świadczył o dawnem dziedzictwie?

Nie chodzi tu o frazes — lecz o świętą wiarę chodzi, która się pod postacią tego podania ukrywa w sercach ludu i o to, komu ta wiara przekazuje świętą puściznę.

Każdy Naród, który się jeszcze nie obudził do pełnego życia, który kiedyś jaśniał w dziejach i tylko omdlał lecz nie stracił ducha, krzepi się w swojej niemocy wiarą w nieśmiertelność swoją. Ta wiara uwidocznia się w żywej postaci pieśni, podania, baśni, i pod tą postacią ukryta żyje ona, choć lud jej znaczenia nie wie lub nie pamięta, żyje na dnie serc, jak iskra w krzemieniu która czeka uderzenia stali, by wskrzeszona zapalić te serca. Piotrowin jest nam obrazem tego ducha który spi w sercach ludu, a którego budzi do życia słowo kapłańskie.

Słowo więc, nauka, oświata, jest tą stalą, którą poświeceni jej kapłani mogą wskrzesić iskrę uspioną w czystych sercach Narodu.

Stal oręża zawiodła nieraz, ale stal słowa użytego z rzetelnem namaszczeniem nie zawiedzie nigdy, i tylko stal słowa uczy ludy używać oręża w świętych sprawach. Powtórzmy sobie raz jeszcze, że buławy bohaterów naszych wiodły do zwycięztw wtedy, gdy niemi władały serca pokryte zewnętrznie stalą hartowną a wewnątrz pałające ogniem miłości nie ambicyi, dumne z poświeceń a nie z świeckich zaszczytów. Dodajmy, że hart nadawała tym sercom wiara, iż Bóg przekazał całemu narodowi wielkie powołanie, i nadzieja, że tego powołania dokonać pozwoli.

Ta wiara, ta nadzieja i miłość wiodła jeszcze zwycięzkie zastępy Jana III pod Wiedeń.

Miejmy odwagę powiedzieć sobie, żeśmy te wielkie potęgi ducha uspili, żeśmy przytłumili te święte ognie życia narodowego — miejmy tę odwagę, gdyż inaczej nie będziemy mieli ani odwagi ani siły wskrzeszenia ich na nowo.

Jak je wskrzesimy, jakie drogi wiodą nas do grobu tego Piotrowina, ducha Narodu, jaka potęga zdoła go zakląć by odżył? Oto patrzmy, sama Opatrzność wśród nieszczęść i zawodów przyświeca nam swojem światłem.

Najwyraźniejszą skazówkę Opatrzności: że nie oręż miał krzepić życie narodowe lecz słowo, t. j. oświata, znajdujemy w dziejach początku wieku XIX, których owocem jest Towarzystwo nauk Krakowskie. Dziejopisarze obcy i nasi, a między tymi w najnowszych czasach hr. Fryderyk Skarbek (w Dziejach Xięstwa Warszawskiego) dowodzą jak złudne było budowanie wielkich nadziei dla Polski na zwycięzki oręż Napoleona I.

W owych czasach (r. 1807 do 1812) zdawało się wszystkim Polakom, że wielki burzyciel dawnych i nadwątlonych potęg wskrzesi ich Ojczyznę. Tymczasem nieszczęśliwa ta kraina była dla niego tylko szczeblem po którym chciał dójść do szczytu chwały i nic nie uczynił dla niej prócz pozostawienia zarodu dzisiejszego Towarzystwa naukowego Krakowskiego. Uczynił on wiele dla całej Europy przez podniesienie ducha narodowego w ogóle, bo on pierwszy od czasów Rzymian wprowadza znowu do dziejów ludy jako potęgi — nie same ziemie z ich panami.

Myśl uważania narodów jako potęgi która on, bezwiednie z Ewangelii przejąwszy, zapisał w dziejach ostrzem oręża była od Opatrzności powierzonym jemu promieniem łaski. Ułomność ludzka nie dozwoliła mu rozwinąć jej w całym blasku: zagłuszył on tę myśl zgiełkiem wojen zdobywczych, zaćmił ją blaskiem tronu samowładczego i zakrył ją błyskotnem godłem chwały. Chwała stała się hasłem walk narodowych, chwale służyły Narody a nie chwała Narodom.

Otóż zwycięzki Napoleon przyniósł Polsce pod względem materyalnym tylko złudne korzyści a rzeczywiste straty, (jasno to okazuje Fryd. Skarbek). Ochoczo poświęcali Polacy wtedy ostatnie krople krwi ostatki mienia swego — za chwałę wielkości Napoleona, za błahą nadzieję dla siebie.

Opatrzność dochowała z ówczesnego peryodu tylko duchowe owoce dla przyszłych pokoleń. Wielce się przyczyniło do obudzenia ducha narodowego podniesienie wszystkich warstw społeczeństwa do godności Narodu przez Napoleońskie instytucye. Jednakże korzyść tego odniosło głównie tylko Xięztwo Warszawskie.

Kraków i cała nasza kraina miały w tem dziele wskrzeszenia krótkotrwały udział. Udział ten był jednak dostateczny, by rzucić nasienie przyszłego plonu. Od

jednego rzutu powstały zarody reorganizacyi we wszystkich tętnicach życia narodowego: w administracyi, wojskowości, finansach, sądownictwie, konstytucyi, stosunkach społecznych, kościelnych i w oświacie. Większa część tych zarodów została, tu prędzej, tam później, stłumioną.

Jedna wszelako z iskier, zatlonych wtedy i w ówczas zaledwie widzialna pośród dzielnie się rozwijającego życia narodowego — jedna była przeznaczoną, by przeżyć wszystkie płody krótkiej epoki wskrzeszenia: tą było towarzystwo naukowe krakowskie przeznaczone znać by przeżyło nawet najdłużej trwałą ze wszystkich ówczesnych instytucyi: napoleońskie sądownictwo.

Naczelnik bohaterów Polski, który pogrzebał w Elsterze ostatnie jej ówczesne nadzieje, uświęcił swojem imieniem pomysł zawiązania tego towarzystwa, zatwierdzając w roku 1809 przedłożone mu przez deputacyę galicyjską urządzenie »szkoły głównej» i połączonego z nią »instytutu akademickiego». Tak nazwano wtedy uniwersytet jagielloński i dzisiejsze towarzystwo naukowe krakowskie.

Zadziwiać nas musi że wśród zgiełku wojny, wśród tylu i tak różnorodnych zajęć politycznych myślano o założeniu towarzystwa naukowego. Jestto prostym wynikiem napoleońskiej zaborczej gienialności. Organizacya nowo zajętych krajów działa się w napoleońskim periodzie, według jednej formy z odmianami tylko takiemi, jakich szczególne charaktery narodów wymagały. Wszystkie gałęzie życia narodowego były w tej organizacyi obmyślane, dla tego w organizacyi zakładów naukowych znalazł miejsce instytut krakowski na wzór instytutu francuzkiego. Krótkie trwanie napoleońskich rządów nie dozwoliło wykonać myśli założenia towarzystwa naukowego.

Zrządzenie Opatrzności dozwoliło tej myśli przejść w czyn dopiero wtedy właśnie, gdy wszelkie inne zbawienne instytucie krótkiej epoki wskrzeszenia uległy rychlejszemu lub powolniejszemu zburzeniu.

Upadek Napoleona i zmowa zwycięzców przeciwko swobodzie narodowej były początkiem tego zburzenia. Utworzenie jakoby na urągowisko „wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego miasta Krakowa" bez wolności, bez niepodległości i w najściślejszej zależności od interesu opiekuńczych dworów, skierowało umysły jaśniej widzących mężów ku temu jedynemu dobru, którego im zabrać nie mogli, ku nauce i oświacie.

Uniwersytet jagielloński, ograniczony w swym wpływie na szczupły okres „wolnego" miasta Krakowa, okazał się w tej mierze godnym dziedzicem puścizny Piastów i Jagiellonów. Najpierwszym czynem jego było, po zapadłych postanowieniach kongresu wiedeńskiego, utworzenie towarzystwa naukowego.

Była to jedyna droga dla Jagiellońskiej szkoły do zajęcia takiego stanowiska, jakie jej przysłużało w narodzie.

Ale okoliczności nie dozwalały mu rozwinąć swej działalności jak należało, nie dozwalały osiągnąć celu ku któremu go parło poczucie ważnego powołania. Ściśle połączone z Uniwersytetem Jagiellońskim, którego professorowie byli z urzędu kierownikami Towarzystwa, dzieliło ono losy tej szkoły zależne znowu od smutnych i coraz gorszych stosunków samej „rzeczypospolitej", jak się podobało nazwać to małe państwo zostające właściwie pod władzą trzech mocarstw. Wpływ ten tamował nietylko wszelki swobodny rozwój na zewnątrz, ale krępował nawet wewnętrzne życie Towarzystwa.

Temu skrępowaniu przypisać należy, że Towarzystwo w ciągu długiego periodu od powstania swego aż do r. 1848 nie wywarło wpływu prawie żadnego na krainy polskie, a chociaż nie było samo bez życia, chociaż ogłosiło wiele tomów rozpraw, nie zdołało zwrócić na siebie uwagi całego Narodu, ani też temu Narodowi przynieść żadnej znakomitszej przysługi.

Liczyło ono w swojem gronie dzielnych pracowników jakiemi byli: J. S. Bandtke, Bierkowski, Brodowicz, Chotomski, Kojsiewicz, Krzyżanowski Ad., Kremer J., Mecherzyński, Muczkowski, Rzesiński, Skobel, Sołtykowicz, K. Trojański, Weisse, Wiszniewski (Michał), Zeiszner i t. d. Liczyło ono za granicą korespondujących członków jak: Baliński Michał, Bandtke Jan Winc., Bentkowski Felix, Borkowski Józef, Grabowski Michał, Osińscy Aloizy i Ludwik; jaśnieją między dawniejszemi członkami jeszcze Brodziński Kazimierz, Koźmian A. E.. Lelewel J., Linde B., Niemcewicz, Potocki Stanisław, Staszic: a jednak dwa pierwsze okresy, które historiograf tego Towarzystwa prof. Majer w dziejach jego rozróżnia, są tylko smutnym obrazem pasowania się z niemocą.

Epoka dzieląca pierwszy okres podług p. Majera (od r. 1816 do 1839) od drugiego (od r. 1840 do 1848) znamionuje właściwie tylko zagrażający Towarzystwu upadek, od którego starano się ratować je zmianą ustaw i wewnętrznej organizacyi. Ale i ta zmiana niewiele pomogła. Cała czynność Towarzystwa, ograniczała się na wypracowaniu kilkuset rozpraw naukowych, i wydaniu kilkunastu tomów Rocznika Towarzystwa. Szacowny to materyał naukowy, jednak wydawanie roczników ani działalność Towarzystwa nie wywarły żadnego wpływu na literaturę i oświatę narodową.

Niech to wystawienie prawdziwego stanu rzeczy nie będzie nam poczytane jako zarzut uczyniony Towarzystwu.

Jeżeli jest zasługą dla strażnika chorągwi unieść ją z pola walki gdzie przemoc lub podstęp zapewnił nieprzyjaciołom zwycięztwo; to przyznajmy strażnikom puścizny jagiellońskiej, że pośród gromów i pocisków zewsząd na instytucye narodowe miotanych, zdołali tę puściznę uchronić od zupełnej zagłady. Kiedy nawet w rządzie tej uciśnionej rzeczypospolitej zagnieżdżały się obce żywioły, kiedy senat był zmuszony przyjmo-

wać do grona swego służebników obcych rządów, wtedy zawsze jeszcze uniwersytet jagielloński i towarzystwo naukowe zostały piastunami naukowości polskiej. Gdy senat Rzplej. zmuszony był zejść do rzędu władz miejscowych, wtedy uniwersytet jagielloński i towarzystwo naukowe były jedynemi świadkami w obec Europy, że duch żywotny Narodu, że puścizna Piastów i Jagiellonów jeszcze nie zginęły.

Był czas gdy młodzież polska sposobiąca się do naukowego zawodu marzyła jak o ziemi obiecanej, o tej jedynej jeszcze szkole polskiej.

Jeżeli tedy mówimy o niemocy tej instytucyi i o zagrażającym jej upadku, pomnijmy z jakiemi walczyć musiała trudnościami i jak je zwyciężała. Jak murem chińskim była otoczona ta mała rzeczpospolita, a żelazna protekcya wykonywana nad nią pozostawiła żywe ślady w jej dziejach. Temu ograniczeniu ulegała najbardziej oświata, której żaden promyk nie zdołał się przemknąć przez zapory dzielące ją od reszty Ojczyzny. Jeżeli co nie przeszło ztamtąd drogą druku przez ścieśnione szranki cenzury ówczesnej, to inną drogą nie dostał się żaden znak życia umysłowego ztamtąd do bratnich krain. Słowo nauki nie brzmiało na katedrach jagiellońskich dla całej Polski jak niegdyś, tem mniej dla Europy. Stopień doktora osiągniony w Krakowie nie miał za rogatkami Krakowa żadnego znaczenia. — Jedynym więc sposobem przysłużenia się ogółowi Narodu była, dla członków tak Uniwersytetu Jagiellońskiego jak Towarzystwa praca naukowa. Dość też spojrzeć na kilkanaście imion najczynniejszych członków aby przypomnieć sobie że niepłonną była ta praca. Każde z owych imion zajmuje jeżeli nie pomnikowe, to przynajmniej nie ostatnie miejsce w historyi piśmiennictwa naszego. Rozpatrzywszy się zaś w szeregu rozpraw zamieszczanych w Rocznikach Towarzystwa przyznać trzeba, że tu się znajduje znaczna ilość małych klejnotów pomnażających zasób owych wielkich klejnotów, jakiemi wzbogacili krakowscy uczeni nasze piśmiennictwo,

Zastępuje ten zasób godnie ową puściznę Jadwigi zostawioną w klejnotach przeznaczonych na założenie szkoły piastowsko-jagiellońskiej. Wszystkie gałęzie nauk są tam reprezentowane, i wiele znajdziemy tam monografii jedynych w swoim rodzaju wśród całego skarbu literatury. Szczególnie do historyi oświaty i pojedyńczych umiejętności zawiera się w Rocznikach wiele wyjaśnień. Dla nauk lekarskich uczyniono nadzwyczaj wiele; dla nauk stanu i prawoznawstwa więcej może niż w któremkolwiek ognisku naukowości polskiej. Wszystko to było owocem poświęceń. Trzeba nam bowiem dotknąć i materyalnej strony.

Towarzystwo naukowe nie było gronem płatnych akademików, zaszczyt czynnego członka Towarzystwa nie był świetną synekurą, jak są miejsca w innych tego rodzaju instytucyach. Jeden urząd sekretarza był płatnym, a gdy i na tę małą płacę 1000 złp. nie starczyło funduszów ofiarował się członek, który długie lata pełnił urząd prezesa, na bezpłatnego sekretarza. Wspomnijmy tu imię tego członka, który nie pomnąc na inne obarczające go zatrudnienia chciał się i tej uciążliwej pracy podjąć bezpłatnie — był nim znany z wielu prac naukowych i zbioru entomologicznego professor Aloizy Estreicher, Polak duszą choć nie nazwiskiem. Towarzystwo, odpłacając szlachetność wspaniałomyślnością, nie przyjęło jego ofiary i postanowiło zatrzymać na posadzie dotychczasowego sekretarza Pawła Czajkowskiego, profesora literatury, który nie dając się prześcignąć w szlachetności, zrzekł się zrazu (w r. 1834) połowy a później (w r. 1837) całkowitego wynadgrodzenia swojego i „pełnił obowiązek ten bezpłatnie, nie z mniejszą jak przedtem gorliwością“, chociaż nie był pewnie do tyla zamożnym, by na to małe wynadgrodzenie swych usilnych prac być obojętnym, jakto już z samych względów Towarzystwa dla niego wnioskować można.

Towarzystwo stało ofiarami, w całem znaczeniu tego słowa. Fundusz jego składał się głównie z datków które członkowie winni byli opłacać. Że datki te bardzo zalegały, było to zapewne winą, tak u nas powszedniej, obojętności dla instytucyi narodowych, chociażby najważniejszych, które nie zdołają z jakichkolwiek przyczyn zjednać sobie wielkiego rozgłosu w Narodzie, które nie mają władzy by, w sposób czasem nawet dotkliwy, upominać się o pełnienie obowiązków obywatelskich. Przyszło do tego że Roczniki, główny znak życia Towarzystwa, musiano w pierwszych latach istnienia coraz rzadziej wydawać, aż wreszcie wydawanie ich stało się całkiem niepodobnem dla braku funduszów. Wtedy (w r. 1833) obmyślił wydział lekarski Uniwersytetu wydawać przynajmniej swoje prace własnym kosztem. Utworzyli profesorowie w tym celu fundusz z opłat wnoszonych przez kandydatów na doktorat medycyny. Zrzekli się osobistej korzyści, gdyż te opłaty należały się profesorom, dla celu naukowego. Znowu tedy stało się poświęcenie środkiem utrzymania słabego wątku życia literackiego w Towarzystwie, aż póki Senat nie poszedł w pomoc przeznaczając tak zwane *minerwalia*, to jest: opłatę wpisową składaną przez uczniów przy wstępowaniu do Uniwersytetu, na cel wydawania Rocznika. Wydawanie Rocznika uważało Towarzystwo słusznie za najświętszy swój obowiązek. Zasiłek z minerwaliów wystarczył w ciągu lat siedmiu, od r. 1841 aż do r. 1847 na wydanie trzech tomów Rocznika. Od r. 1833 do 1841 nie było Towarzystwo w stanie dawać nawet tej słabej oznaki życia. Było to zapewne smutne oddziaływanie, gromów jakie spadły na Ojczyznę po krótkiej chwili szczęścia i świetnych nadziei w r. 1831. Któż mógł myśleć o naukowości, gdy go dolatywało echo grobowych jęków z więzień, gdy od Syberyi brzmiało powietrze łkaniem ofiar, z wychodztwa westchnieniami rozpaczliwej tęsknoty, gdy łzami i krwią liczyły się chwile długiej, pogrzebnej nocy po zajściu krótkiego jasnego świtu w r. 1831 aż do rozwidnienia jej okropną krwawą łuną, zażegniętą obłąkaniem serc bratnich w r. 1846? Kościoły kirem pokryte, rodziny żałobą znękane, jeden

głuchy jęk w całym Narodzie, przerywany niekiedy konwulsyjnem zrywaniem się by z ranami rozdartemi popaść na nowo w krwawą niemoc — i nie miałaż wśród tego oniemieć nauka?

Chcieliśmy dalej ciągnąć rzecz o sprawach Tow. Nauk. Krak. — lecz zaprzestańmy na chwilę. Zostawmy serca nasze pod wrażeniem tych męczennych wspomnień, bo takiemi wspomnieniami godzi się rozboleć często by ducha uzdrowić; godzi się umilknąć wśród powieści, którą tylko z łkaniem dalej prowadzić można. Niegodzi się przerywać milczenia, w jakie nas pogrąża nagrobne rozpamiętywanie, przerywać odnowionej wielkiej boleści, bo przed jej wielkością maleją nieskończenie czyny pojedyńczych członków Narodu, którego całe szczęście zburzono.

(*D. n.*)

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

Od roku 1855....

W godzinę potem jakieś wcale niespodziewane wesele napełniło szczupłe komnatki Grodowiskiej plebanii. Od lat niepamiętnych nie było tu takiej jasności! W bawialnej komnacie płonęła na stole wielka lampa oliwna a oprócz niej jeszcze dwa kandelabry z jarzącemi świecami. Organista, ubrany na dzisiaj w liberyjną kapotę ze świecącemi guzikami, dmuchał jak miechem kowalskim w samowar — a kantor, z dopiero co natarganą przez klucznicę czupryną, ale także ubrany służbisto, zastawiał ciasta i wędliny na stole. Albowiem właśnie się tak wydarzyło, iż było to w kilka dni po grodowiskim odpuście: zaczem w szpiżarni proboszcza chowały się jeszcze znaczne pozostałości odpustowych przysmaków. Były więc szynki i skrzydliki ozorów, lukrowany marcypan i pełny półmisek małdrzyków. Wszystko to ustawiano umiejętnie, ze względem na podniebienie i oko, a nawet sam kanonik, mąż wyniosły i bardzo poważny, co chwila się przybliżał do stołu, poprawiając własnoręcznie talerze i szklanki.

Pomimo to jednak, prócz gospodarza, nie było tylko jeszcze dwie osób w komnacie. A temi osobami byli: miejscowy wikary, białowłosy już i zgarbiony, lecz jeszcze bardzo ruchliwy staruszek, — i niedawno-co z dziewięcio-letniego tułactwa przybyły Dobiesław. Obadwa siedzieli na małej kanapce w kąciku, i już od godziny dość żwawą prowadzili rozmowę. Skończyli ją wreszcie — i Dobiesław został jaknajdokładniej zawiadomiony o wszystkiem. Zaczem pomyśliwszy przez dłuższą chwilę nad temi wiadomościami, obrócił się do wikarego i rzekł:

— Tak, tak, mój xięże Grzegorzu! Żadna potęga nie potrafiła-by nas pokonać, bo nigdy z cudzej ręki nie giną narody. Duch w wiekach zrodzony i wiekami zmężniały, do końca świata nie zginie. Ale my zginiem, bośmy sami przyłożyli rękę do siebie i czego żaden wróg nie dokazał, tego nasza własna wola dokaże....

— Przebóg! — zawołał na to składając ręce wikary, — jakież-to Asindzi powiedziałeś bluźnierstwo! My zginiem? my, którzy cały wiek żyjem w grobie i którzyśmy w grobie tak potężnie urośli? Popatrz w historyę ażaliż jest tam wiek jaki, w którym-byśmy byli tak liczni, tak oświeceni i tak kochający, jak dzisiaj? Przecież jak sądzę nie patrzysz w dzieje okiem historyków-archeologów, którym kilkunastu scholastyków wystarcza na to, ażeby ten lub ów wiek nazwać słońcem oświaty, u których Herburt był wielkim prawnikiem, Rej wielkim poetą, a Bielski wielkim dziejopisarzem. Ażaliż dziś każdy akademik nie umie więcej, niżeli ci wszyscy trzej razem? i ażaliż dziś niemasz u nas dwa razy tyle uczonych, niżeli ich we wszystkich dziewięciu wiekach nazbierasz? Pomyśl nad tem a tak nie gadaj, bo tylko rozpacz tak gada.

— Oh! ja archeologiem nie jestem! — mówił Dobiesław, — ja nawet nie jestem poetą, i mierzę historyę łokciem dzisiejszym. Co mi ze scholastycznej mądrości, kiedy przy takiej taktyce wybito-by nas dzisiaj do nogi? Ale tam w dziejach jest co innego, co je czyni istotnie wielkiemi. Tam jest duch, który był wielkim. Nie wielu ich było, tych którzy dźwigali na sobie nawę Rzeczypospolitej; ale ci nie wielu mieli w sobie ducha, mieli zapał i rozum i wolę, za wszystkich. Dziś oświeconych jest wielu; ale z tych wielu, jedna połowa jak widzę całkiem próżną jest ducha, a druga jest wiotka i słaba i próżna wszelkiego zapału. I z tej drugiej połowy jeszcze ledwie nie codzień jakaś dusza od nas odchodzi.....

— Ale gdzietam! — zawołał wikary, — dawno tutaj nie byłeś, nie znasz kraju, nic nie wiesz. Dziś od nas już nikt nie odchodzi, ale owszem codzień ktoś przybywa. Bo to tak musi być: nie stoim przecie na miejscu, ale postępujem wciąż naprzód, kształcimy nasze serca i oświecamy nasze rozumy. Toż dzisiaj każdy, opatrzywszy się, zkąd wyszedł i dokąd zmierza, idzie tam gdzie go woła sumienie. Kiedy czas dłuższy zabawisz w kraju, to się zadziwisz, jak się tu wszystko zmieniło: jakich dziś będziesz spotykał ludzi i w jakich sferach! Wszyscy już dzisiaj wracają... Ot, patrz! — tu się nachylił ku niemu i mówił ciszej, — patrz na naszego proboszcza. Nie pamiętasz-że, jaki to był człowiek dawnemi czasy? Twoja nieboszczka matka go nie potrafiła nawrócić; to dosyć. A teraz, czy nie słyszałeś, jak mówi? Otóż jak mówi, takim też i jest, i daj nam Boże! żeby tylko takimi byli wszyscy.

— To prawda, — mówił Dobiesław, — kanonik mnie niezmiernie zadziwił, a zarazem serdecznie ucieszył. Ale czy wielu jest takich, jak on?

— Czy wielu? nie wielu, lecz wszyscy. Jak ciebie kocham, tak wszyscy. Bo to czas dziwnie skutecznie działa na ludzi, jeszcze dziwniej wypadki a najskuteczniej bieda. Ej! bieda, bieda! to-to nauczyciel, to mistrz! Całować te ręce, które nam go sprowadzają. A dziś bieda się wszystkim dała we znaki; to też dziś, jak ten kraj wielki, ja nie znam ani jednego człowieka, który-by nie miał takiego samego sumienia jak ja i ty, i wszyscy twoi ojcowie.

— Ani jednego? a Krzesław?....

— Krzesław? — powtórzył wikary, — no, to prawda, że Krzesław się trochę obłąkał. Zasmakowało mu złotko, zakochał się do zbytku w mamonie, spaskudził się trochę.... Ale wiesz co! I Krzesław nie jest w gruncie swojego serca takim, jak o nim świadczą jego uczynki. Jest tam jeszcze niejedna poczciwa iskierka, tylko-by ją trzeba rozdmuchać. I obaczysz, że ją coś kiedyś rozdmucha — a swego czasu nie będzie on gorszym od innych, za to ci ręczę.

Takim był wikary. Bo i dziś jeszcze są ludzie, którym Bóg dał serce a nie dał oka. Są to najszczęśliwsi ludzie ze wszystkich. Na wszystko patrzą tylko sercem i wszystko w różowych widzą kolorach; wierzą w ziszczenie tego wszystkiego, co pragną, i nigdy nie tracą nadziei. Świat dzisiejszy, biorąc wszystko na szalę rozumu, zwykle ich lekceważącem a często nawet i pogardliwem obdarza spojrzeniem. Ale czyni to najniesprawiedliwiej. Ludzie ci bowiem są to jedyne jeszcze wiecznie kwitnące kwiaty na ziemi, — słowa ich, to woń wiosenna śród zimy, — życie ich, to krew młodzieńcza obiegająca w drewnianem ciele dzisiejszych pokoleń. Każde zetknięcie się z nimi pozostawia po sobie najprzyjemniejsze wrażenie. Wspomnienie z własnych lat młodzieńczych, — widok odradzającej się ziemi o wiośnie, — spełniony w naszych oczach czyn zacny — a rozmowa z takim wikarym, to jedno. Wszystko to nas orzeźwia, uspakaja i rozwesela. Toż i Dobiesław rozweselił się po tej rozmowie, wstał i zaczął się żywszemi krokami przechadzać po niewielkiej komnatce.

Po chwili stanął, a spojrzawszy na stół tak suto nakryty, rzekł do proboszcza:

— I wy mówicie, że was bieda przygniata? Ja jej wcale nie widzę.

A kanonik się na to uśmiechnął i tak odpowiedział:

— WPan Dobrodziej nas tak sądzisz, jak Niemcy. Kiedy obaczą półmisek mięsiwa i buteleczkę wina na stole, powiadają o nas: Ci ludzie hulają zapamiętale, żywią się mięsem i winem; jeszcze im bieda nie dokuczyła, można ich jeszcze cokolwiek pociągnąć. Ale zapominają w tych sądach, że u nas dawniej po kilka półmisków i po kilkanaście butelek stawiano na stole. A cóż WPan Dobrodziej powiesz na to, kiedy się dowiesz, że to co tu widzisz, są to pozostałości z przedwczorajszego odpustu? Gdybyś był w taką porę nie trafił, byli-byśmy cię przyjmowali chlebem rzanym i ścieranką na mleku. Bo tak zazwyczaj żyjemy. Ej! wielka u nas jest bieda, mój panie Dobiesławie! bieda jakiej od niepamięci nie było, bieda rozściełająca się wszędzie, od chat do pałaców. Ale trza z nami pożyć przez jedną dobę i drugą, ażeby ją dobrze obaczyć. Obaczysz ją niebawem i zapomnisz się, jak się tu wszystko zmieniło! A wszakżeż znałeś nasz kraj niegdyś i wiesz, jak tu dawniej bywało. Pieniędzy było niewiele i prawie wszystkie zbiegały się do rąk szlachty, ale było ich jeszcze zawsze dostatkiem, bo taniość była ogólna a szlachta dawała chętnie ze siebie korzystać. A oprócz tego było dostatkiem tego wszystkiego, co potrzebne do życia: chleb, mięso, koń, wół i tak dalej, produkowany bez kosztu, był dla każdego dostępnym, i wszyscy mieli tego do zbytku. Toż wtedy dobrze działo się wszystkim. Chłop musiał wprawdzie robić pańszczyznę i był pod opieką; pańszczyzna bywała mu ciężką a opieka czasem utłumiająca: ale też za to szpichrz dworski był szpichrzem jego, głodu on nie znał w czasach najcięższych i nie wiedział, co to być bez dobytków, bo jak je stracił, to mu je dawano ze dworu. Prócz tego, musząc robić dla dworu i dla siebie, nawykał do pracy, i tak zazwyczaj pracował, iż dwór obrobił, siebie obrobił i jeszcze miał groszyk zapaśny w skrzyneczce. Toż po wszystkie czasy mojego życia, a sięgają one kilkomalaty jeszcze w wiek ośmnasty, ja nie pamiętam tu głodu; — dopiero w roku 1846 pierwszy głód się pojawił i całe chmury żabractwa się rozwłóczyły po kraju.... Rzemieślnik na małem miasteczku stał sobie pod owe czasy wybornie, bo miał ustawiczny zarobek. Szlachta, mająca się dobrze, dawała mu ciągle robotę u siebie, płaciła za nią tanio, ale płaciła gęsto i rzetelnie; ztąd ci ludzie garnęli się chętnie do prowincyonalnych miasteczek, nabierali ochoty do pracy, wykształcali się w swoich rzemiosłach, ubiegali się między sobą o lepszą, i nie było to wtedy rzeczą rzadką w takiem miasteczku, w którem zaledwie kilkadziesiąt się domków mieściło, znaleźć każdego rzemieślnika, jakiegoś tylko zapragnął. Rzemieślnicy po większych miastach, ochronieni od zagranicznej konkurencyi brakiem żelaznej kolei, mieli się tak samo od szlachty zamożniejszej: a kupcy mieli święte życie natenczas. I była pomiędzy tymi ludźmi pracowitość, zapobiegliwość, rzetelność, bo każdy z nich miał swoich panów, z którymi go starodawne łączyły związki, każdy był pewnym swego odbytu i każdy lękał się go utracić. O samej szlachcie zaledwie potrzeba wspominać. A przecież WPan Dobrodziej sam to pamiętasz, jakie-to dwory były i jakie w nich wszędzie dostatki. W każdym dworze bawił jakiś stryj, wuj i stryjenka, dziadek lub babka, jakaś sierotka jedna, druga i trzecia, a nie rzadko i gość całe obcy, ale miany za brata, bo potrzebował pomocy. W każdym dworze natenczas jeść i pić było do syta, każdy człowiek miał co mu się należało, i każdy czas miał co mu się godzi. Święta były świętami i obchodzono je po starym zwyczaju: w czas postu modlitwy i ryby, a w zapust mięso, tańce i kuligi. A jaka-to wtedy bywała na każdym dworze gościnność, i jaka powaga! Nie pomnę wtedy krótszej

gościny jak trzy dni; nie pomnę osiadłego szlachcica bez dzielnej czwórki, i nie pomnę go nawet siedzącego na bryczce lub wózku. — Dziś, popatrz-no panie! jak się tu wszystko zmieniło! W szlacheckich dworach dziś jakby w klasztorach. Pan i pani i dziatek kilkoro, otóż ich zwykła załoga. Nie obaczysz tam żadnych krewnych siedzących w gościnie, a o przyjaciołach ani wspominać. Do tego jeszcze pan kwaśny i pani kwaśna, a nawet małoletnie chłopięta nie hałasują wesoło jak dawniej, jeno chodzą zamyślone jak starcy. Przy całym domu zaledwie jeden służący, a i ten jeszcze nie zawsze gotów jest do usługi, bo prócz swej dawnej spełnia jeszcze funkcyę karbownika albo szafarza. Gość w czasach dzisiejszych to *rara avis in gurgite vasto*, a jeżeli przyjedzie, to na godzinę, i wraca czemprędzej do siebie, bo go tam czeka wypłata robotników i dyspozycya na jutro. Nadejdą święta, aliści ledwie znać, że to święta: o jednej szyneczce, o dwóch strucelkach, obchodzą się takie festy, a są już domy, które całkiem świąt nie obchodzą po starodawnym zwyczaju. Toż kiedy o rybach w post nikt już nie myśli, bo mięso tańsze jak ryby, a czasem nawet tańsze jak legumina: za to w zapusty nikt o zabawie nie myśli, i możesz dzisiaj w zapust przejechać całą naszą prowincyę a nie usłyszysz i jednej skrzypicy. A nie serca nam braknie, mój panie i ochota by się znalazła, ale środków nam brak, bo bieda wszędzie okrutna. Nie dziw też dzisiaj widzieć pana na kilku wioskach chodzącego w grubym kubraku piechotą po polu, bo niema ani jednego wierzchowca w stajni; delikatniutka dama jeździ wyplatanym wózeczkiem w sąsiedztwo i do kościoła, a od lat prawie ośmiu nie pamiętam, ażebym gdzie widział choć jedną czwórkę poczciwą. Tak żyje szlachta ta, która dawniej otwarte prowadziła dwory i nazywała się panami: a cóż dopiero powiedzieć o mniejszych? Przy ciężkiej pracy, przy wielkich trudach, przy bezustannych kłopotach, ledwie się chronią od głodu.

— Od szlachty szło dawniej wszystko i jeszcze dziś idzie w naszym narodzie. Toż kiedy ona tak zubożała i tak się we wszystkiem ściągnęła, w przerażający sposób popodupadały nasze miasteczka. Tej nędzy, panie, która dziś po naszych miasteczkach grasuje, nikt nie uważa, bo na oko stoją w nich te same domy i niby ci sami kręcą się ludzie, ale spytaj-no się WPan Dobrodziej lekarza lub xiędza, którzy w te domy wchodzą i spowiadają tych ludzi, a dowiesz się rzeczy przerażających. O zamożnego mieszczanina na małem miasteczku dziś ani pytaj, bo gdzie dawniej była zamożność, dzisiaj jest niedostatek, a gdzie była mierność, tam łachmany i nędza. Toż niemasz dziś po tych miasteczkach nawet i rzemieślników; o owych złotnikach, płatnerzach, blacharzach i mosiężnikach, którzy dawniej tu siedząc, chadzali nieraz ze stołecznemi robotami w zawody, ani wspominam; ale dziś już tu ani krawca nie znajdziesz, który-by ci przenicował kapotę, ani szewca nawet nie znajdziesz, który-by ci bót uszył chędogi. A jeśli wypadkiem go znajdziesz, to oddaj się Bogu! bo obedrze cię tak, jak i stołeczny mistrz nie potrafi. A przecież Bogiem a prawdą jeszcze i tego nie można mu brać za złe: bo jakżeż nie ma drzeć, kiedy przez cały rok może tylko ty jeden wpadłeś mu w ręce? i jakżeż ma nie drzeć, kiedy jego nieboraka drą także ze skóry? — Tak samo i w miastach większych: rzemieślnicy podupadają, bo niemają odbytu i z tegoż samego powodu po kilkunastu kupców co roku popada w bankructwo. Gdybyż przynajmniej za to choć dobrze działo się chłopu! Ale gdzież-tam, mój panie! Powiadają mi, iż przez zniesienie poddaństwa poprawiła się jego dola moralna. Ja tego wcale nie widzę. Rzecz jest zawsze ta sama, tylko inną ma formę. Bo jeśli dawniej nasz chłop miał mandataryusza nad sobą, to ma dziś becyrki, z których jeszcze ta wielka wypływa dla niego strata, że kiedy mu dawniej każdą sprawę osądzono doraźnie i na miejscu, to dziś musi z nią chodzić o kilka mil i czasem czekać parę miesięcy. Dawniej robił pańszczyznę, dziś jej nie robi: ależ dziś płaci chłop takie podatki, że na nie musi pracować przynajmniej tyle, ile wynosiła połowa pańszczyzny; jeżeliż jeszcze do tego doliczysz teraźniejsze szarwarki, to się znajdzie i druga połowa. Gdziesz więc jest jego korzyść? Robi on dzisiaj pańszczyznę i jest tak samo małoletnim, jak dawniej; a jego korzyść jest chyba w tem, że dawniej za te ciężary miał zapomogę, a dziś jej niema i mieć nie może. Otóż i korzyści naszego ludu! I wierz mi to WPan Dobrodziej, o czem się zresztą i sam niebawem przekonasz, że je widać wszędzie naocznie. Jest wprawdzie dziś w każdej wiosce jeden gospodarz i drugi, który się po zniesieniu poddaństwa podniósł znacznie materyalnie, a nawet, przyznam to chętnie, podniósł się trochę moralnie, ależ to bardzo nieliczne wyjątki! A za to ogół wiejskiego ludu straszliwie podupadł, poubożało wielu, poopuszczało grunty, a prawie wszyscy poleniwieli, porozpijali się, a nawet znajdziesz już między nimi i grę i oszustwa i co za tem idzie. Nie przeczę temu, iż zniesienie poddaństwa jest rzeczą bardzo piękną w zasadzie, powiem nawet, iż trzeba już było przystąpić do tego koniecznie, ale wykonanie tego ważnego czynu należało urządzić inaczej. Podług mojego tedy widzenia rzeczy, nasze złe nie leży wcale w istocie tego czynu, tylko w jego formie, o czem zanadto wiele trzeba-by mówić, aby powiedzieć wszystko. Powiem więc krótko: iż postawiono nagle naszą prowincyę na stopie zachodnio-europejskiego porządku rzeczy, a nietylko nie dano nam środków, abyśmy mogli temu porządkowi we wszystkiem wyrównać, ale owszem przeciwnie.... reszty się WPan Dobrodziej domyślisz. Stąd nasza bieda, głód, nędza, ostateczny upadek szlachty, a za nią ostateczna ruina wszystkiego.

Tak mówił kanonik. Dobiesław go słuchał z uwagą, bo każda wiadomość o jego ojczyźnie była dla niego pełną niewymownego zajęcia. Ale ponieważ postawiony przez kanonika obraz był prawie wręcz temu przeciwny, co mu powiadał wikary; więc się obrócił do niego i zapytał z uśmiechem:

— A jegomość co na to?

Ale staruszek, który przechadzając się po komnacie powieści tej z wielką słuchał niechęcią a nawet mruczał coś sobie pod nosem, mruknął także i teraz i rzekł machnąwszy ręką:

—*Laudator temporis acti!*

Więcej już nic nie mówił. Natomiast zaś Dobiesław zabrał głos i przedstawił kanonikowi swe zdanie w ten sens:

— Pozwolisz mi pan, abym na to coś odpowiedział, a mam ważne rzeczy do powiedzenia, bo chociaż mnie od lat siedmiu w kraju nie było, zasięgałem jednak zawsze jaknajskrzętniej wszelkich wiadomości o mojej ojczyźnie, myślałem nad jej losami mozolnie i rozmawiałem o niej z ludźmi, którzy swe życie poświęcili na to ażeby tylko o niej rozmyślać. Więc tedy rzecz ta, jak mi się zdaje, ma się następnie. Że dzisiaj bieda wielka jest w kraju, temu nie przeczę, bo sam ją już widzę: ale, jak z jednej strony nie wypłynęła ona w całości z samego zniesienia poddaństwa, tylko wypłynęła i wciąż jeszcze wypływa po wielkiej części ztąd, iż to państwo, którego dziś częścią składową jesteśmy, równocześnie ze zniesieniem poddaństwa znalazło się w położeniu krytycznem,— tak znowu z drugiej strony, gdyby była nawet wypłynęła w całości ze zniesienia poddaństwa, nie godzi się na nią uskarżać. Albowiem najpierw', jak to panu zapewne z historyi wiadomo, taka bieda lub tej podobna bywa zazwyczaj nieodstępną towarzyszką każdej społecznej reformy. *On ne fait pas d' omelette sans œufs cassés*, jak powiadają Francuzi. Że tę reformę można było przeprowadzić inaczej, z większym względem na teraźniejszość i przyszłość najbliższą, że można było coś z dawnych instytucyi jeszcze na czas jakiś zachować, jak np. dawne urządzenie gmin, a coś jeszcze więcej znieść jednocześnie, jak n. p. służebnictwa; to panu chętnie przyznaję, ale że to wszystko są tylko drobnostki w obec tej wielkiej korzyści, którąśmy uzyskali przez zniesienie poddaństwa, tego mi pan nie zaprzeczysz. Jestem bowiem pówtóre przekonany najmocniej, że jakkolwiek się skutki tej reformy dziś przedstawiają, jest ona zawsze korzyścią w ogóle wielką i niczem nieopłaconą za drogo. Wejdźmy w szczegóły. Pan mi powiadasz, że chłop nic nie zyskał, bo dziś tak samo odrabia pańszczyznę i jest tak samo pod opieką jak dawniej; to może prawda, ale żeby to była ta sama rzecz w innej formie, jakże to można powiedzieć? A przecież jest postawiona zasada zniesienia poddaństwa, i ta zasada weszła w życie jak najzupełniej. Podatki są podatkami a szarwark szarwarkiem; to oboje pociąga za sobą konieczność pracy, — ale żadne z nich nie jest pańszczyzna! Toż samo jest i z opieką becyrków. Chłop ulega becyrkom; ależ becyrk jest władzą a nie jest człowiekiem. Ulega więc człowiek władzy, ale nie człowiekowi drugiemu, a to jest wielka różnica! W tej właśnie różnicy leży zniesienie poddaństwa. Że do dnia dzisiejszego z tej reformy jeszcze za mało błogich skutków wypłynęło dla chłopów, że nawet chwilowo stan ich się zmienił na grosze, to może być; ale mnie to nic a nic nie frasuje. Panie drogi! a wszakżeż-to siedm lat dopiero, jak została zaprowadzoną ta wielka reforma. Ażaliż jest podobieństwo, ażeby w siedm lat społeczeństwo zbierało już dojrzałe z takiego posiewu owoce? To się nigdzie nie stało. A tymczasem u nas i to już dziać się zaczyna.

Powiadasz mi bowiem pan sam, który w dobre skutki tych reform nie wierzysz, że u nas już w każdej wiosce jest po kilku gospodarzy, którzy się znacznie podnieśli, i moralnie i materyalnie. A toż-to są cudy prawdziwe! Kędy-indziej dopiero pokolenie następne zaczynało z takiej reformy korzystać: a u nas już pokolenie pierwsze z niej korzysta i korzysta tak, że w każdej wsi jest takich wzorów po kilka. Kochany kanoniku! to jest tryumf ogromny, to widoczna łaska Boża, to dowód jawny, że nasz lud jest daleko lepszym, niżeli ludy całego świata. Jakoż najmniej się nie frasujmy o niego — i bądź mi Pan przekonanym że jeżeli tylko duchowieństwo nie będzie szczędzić swej pracy a szlachta swojej pomocy, to ledwie jedno pokolenie przeminie, a nasz lud silnie uczuje się w sobie i stanie się tem, czem z winy naszych ojców nigdy nie był w historyi, a czem przynajmniej od czasu rozbioru staraniem szlachty stać się był powinien. — Że miasteczka nasze tak podupadły, serdecznie mi żal, bo były to polskie miasteczka i dały tego niejednokrotnie dowody. Również mi żal, że rzemieślnicy popodupadali. Ale powiedz mi pan, czy pan istotnie przywięzujesz tak wielką wagę do rzemiosł polskich?.... Ja nie. Od niejakiego czasu jest dosyć rozgwaru o tem w naszej literaturze. Znaleźli się bowiem ludzie, którzy się zaczęli w taki sam sposób zakradać w świątynię historyi, jak myszy do mieszkalnych budynków: przez podwaliny, przez szczerby w murach, przez stary skrzynie i komory napełnione rozmaitem strupieszałem rupieciem. Grzebiąc pomiędzy temi staremi gratami i rozsnuwając wypełzłe nitki niedodartych łachmanów, obdarzyli nas całym szeregiem wielkich rzemieślników polskich, wielkich snycerzy, malarzy a nawet muzyków! Ważne akta dyplomatyczne, relacye posłów, diaryusze sejmowe, nadania i przywileje królewskie a nawet rzadkie już dzisiaj dzieła znakomitych autorów dawnych, trupieszeją po półkach bibliotek: ale słowniki rzemieślników, malarzy i muzyków, mamy już w najpyszniejszych wydaniach. Czy to jest dobre zrozumienie istotnych potrzeb naszego narodu, którego doli ani rzemiosła, ani malarstwo, ani muzyka, o jeden cień nawet poprawić nie zdoła, w to tutaj nie wchodzę: ale radbym tu panu stanowczo powiedzieć, iż ja z mojej strony, jak w owych wielkich malarzy, i muzyków polskich, tak i w owych sławnych pasamoników, płatnerzy, blacharzy i tak dalej, także nie wierzę. Co więcej, nie wierząc w ich wielką przeszłość a widząc ich teraźniejszość, bynajmniej się tem nie frasuję, że teraz tak podupadli. Podupadli oni nie z powodu owej społecznej reformy, ale z powodu

otworzonej konkurencyi z europejskim zachodem. A cóż to dowodzi? Oto robią źle i drogo, więc nikt nie od nich nie bierze. Jak się nauczą dobrze swych rzemiosł i zrozumieją swe w społeczeństwie powołanie, bądź pan pewnym, że każdy będzie wołał zaopatrywać swoje potrzeby o milę od siebie, niżeli sprowadzać je z zagranicy. Bieda więc ta, która dziś rzemieślnikom naszym dokucza, jest nawet dla nich samych wielką korzyścią: bo zwalczywszy ją jedynym środkiem możliwym, t. j. środkiem swego wydoskonalenia, i nędzy się swojej pozbędą, i zajmą stanowisko takie w narodzie, jakie im się wtedy będzie słusznie należeć, a jakiego, wbrew wszystkim wynalazkom naszych archeologów, nigdy nie mieli. — Prawie to samo mogę panu powiedzieć o upadku miast wielkich i naszego kupiectwa. Nasze miasta wielkie a razem z niemi i nasze kupiectwo, w czasach tych, odkąd nam historya coś pewniejszego o nich przynosi, były nam obce zupełnie. W wiekach XIII, XIV, XV, niemieckie na wskróś, były one po prostu wielkiemi pijawkami obcego nam miotu, które zamiast brać jakikolwiek stateczny udział w zacnych pracach narodu, wysysały jego soki najlepsze. Prócz tego jeszcze one-to głównie wprowadzały do Polski zbytek i rozpustę — a nawet niejednokrotnie, mianowicie w wieku XIII, wiązały się z nieprzyjaciołmi narodu i walczyły przeciwko niemu w sposób najrozmaitszy. Później spolszczyły się miasta i poprawiły się trochę moralnie· ale gdzie-by dały dowody swojego poświęcenia się dla dobra narodu, nic nam nie powiada historya. Broniły csasem swych siedzib i fortun w obec nieprzyjaciela i składały mu częste okupy: ale mieszczan walczących w polu, ginących za ojczyznę i wiarę albo wyzuwających się z swoich fortun na potrzeby ojczyzny, ja nigdzie nie mogę wyszukać. Toż przez całych dziewięć wieków naszego świetnego bytu pozostał nam z ich grona w pamięci jakiś Wierzynek, a wreszcie zacny Kiliński z Kapustasem i Sierakoskim — i na tem koniec. A jak się dziś zachowują te miasta, mianowicie w naszej prowincyi? Czy biorą jaki udział w ciężkich pracach narodu, z którego żyją; czy są mu obce zupełnie?— ja tego nie wiem, bo mnie lat kilka nie było w kraju, ale Panu to dobrze wiadomo. Cóżkolwiekbądź, o takie miasta nie mamy się co tak bardzo frasować. Jeżeli kiedyś zrosną się z nami duchem i sercem i tego zrośnięcia się jawne złożą dowody, to wtedy będziem się cieszyć każdym nowym domem wymurowanym w mieście a smucić każdem bankructwem kupca: ale dziś możem jeszcze milczeć o miastach i kupcach i wierzyć po staremu, że Polska żyje nie w mieście lecz na wsi. Jest też do dziś dnia w Polsce tylko dwa stany: lud i szlachta, do której od czasu rozbioru liczy się intelligencya: i liczy się słusznie, bo krwawym trudem, olbrzymiemi pracami i poświęceniem bez granic, zasłużyła sobie już dawno i wciąż zasługuje na najpiękniejsze szlachectwo. Od ludu tedy, który się ma stać kiedyś wielką narodową potęgą, — przechodzę da szlachty, która taką potęgą jest teraz. Dzisiejsza jej bieda jest rzeczywiście godną serdecznego współczucia. Szlachta biedna, to naród biedny, — szlachta osmucona, to naród osmucony,— szlachta w zwątpieniu, to naród w zwątpieniu! Że ta bieda dzisiejsza trwa ciągle, że szlachta jej się cokolwiek poddała, że nawet się poddać musiała, bo trudne są dzisiaj środki ratunku; tego panu nie przeczę, to prawda. Ale przecież śmiem panu powiedzieć, iż się na ten obecny stan rzeczy zapatrujesz cokolwiek inaczej, jak trzeba. Przedewszystkiem muszę natrącić, iż i ta bieda szlachty nie wypływa wprost ze zniesienia poddaństwa, tylko z towarzyszących u nas zawodowi rolniczemu okoliczności, które ze zniesieniem poddaństwa nie mają żadnych styczności. Odejmij pan naszym rolnikom w słusznej części podatki, zdejmij z ich karku żydów dzierżących cały handel krajowy w swym ręku, a daj natomiast banki rolnicze i otwórz im bezpośrednią styczność z wielkiemi europejskiemi targami: a obaczysz, że dola ich nietylko się natychmiast poprawi, ale stanie się bez porównania świetniejszą, niżeli była za czasów pańszczyzny. To jest prawda uderzająca na pierwszy rzut oka: więc dla czegóż tę dolę obecną wiązać ze zniesieniem poddaństwa? Trza tedy o tem powiedzieć wyraźnie: że obecna bieda rolników nie wypływa ztąd, iż poddaństwo zniesiono, ani nawet ztąd, iż je tak nagle zmieniono; ale po prostu ztąd, iż przy zniesieniu poddaństwa nie zaprowadzono natychmiast tego wszystkiego, co w kraju takim, gdzie nie istnieje pańszczyzna, dla utrzymania rolnictwa istnieć powinno. Czy szlachta na zniesieniu poddaństwa straciła coś materyalnie? na to odpowiedzieć nie trudno. Straciła tylko to, iż jej zatrzymano trzecią część indemnizacyi, a mimo to nietylko jej nie ujęto tych ciężarów, za których zniesienie ta część zatrzymaną została, lecz owszem jeszcze ich przyczyniono. Gdyby indemnizacya została wypłacona w całości, straty materyalnie wynikające ze zniesienia pańszczyzny i czynszów były-by wynagrodzone zupełnie, bo prowizya od kapitału indemnizacyjnego wystarczała-by wszędzie na opłacenie robotnika. O tem zresztą, jako o rzeczy skończonej niema co mówić. Ważniejszą daleko jest kwestya ta: czy szlachta na zniesieniu poddaństwa straciła moralnie? — Otóż powiem panu, że nietylko nic nie streiła, ale owszem skorzystała niezmiernie wiele. Ażebym moje widzenie tej rzeczy krótko i jasno wyłożył, muszę przedwszystkiem nadmienić, iż aż do czasu zniesienia poddaństwa uważam w każdej prowincyi polskiej szlachtę a naród za jedno. Bo tak jest: gdzie lud jest niewolnikiem, gdzie miasta są obce a rzemiosła nijakie, w kim-że żyje duch narodowy? — w szlachcie i w tych, którzy się oświatą swoją wyjarzmili z poddaństwa, a którzy są naszą dzisiejszą szlachtą. A czyż naród stracił na tem moralnie, że w jego grono, dotychczas szczupłe, przybyło miliony ludzi wolnych? że po prostu przybyli wszyscy? Jest to oczywiście korzyść ogromna, korzyść największa, jaką moglibyśmy zdobyć w tych czasach — i jaką musieliśmy przedewszystkiem innem zdobyć ko-

niecznie, jeżeli chcemy być dalej narodem. Ja wiem, że pan mi tu wspomnisz o stracie przywilejów szlacheckich. Te szlachta straciła, to prawda. Ależ Panie kochany, w drugiej połowie dziewietnastego wieku ta strata nie jest już stratą. Pomijam wszystkie inne na to dowody, a wspomnę ten tylko: iż przywilej człowieka nad człowiekiem teraz stał się już sam ze siebie nie zaszczytem, lecz hańbą — a istotnie coś znaczącego przywileju szlachty, przywileju historycznego nazwiska i zaszczytnych tradycyi, nikt szlachcie naszej nie odebrał i nigdy odebrać nie może, chyba że ona sama wypływających z niego korzyści moralnych siebie pozbawi, jak tego obojga przykłady widzimy we Francyi, w Niemczech i całej Europie zachodniej. Szlachta tedy na zniesieniu poddaństwa nic nie straciła moralnie: ale ja panu okażę, że jeszcze przez to niezmiernie wiele zyskała. Jest bowiem prawdą niezaprzeczoną, że szlachta nasza od czasu rozbioru aż po dzień zniesienia poddaństwa była po prostu niczem: a dopiero od czasu zniesienia poddaństwa otworzyła się dla niej droga stania się czemsiś, i nie można już dziś wątpić, że się tem stanie istotnie. Zdanie to może się panu wydawać dziwnem; lecz niem nie będzie, kiedy porównamy pod tym względem czasy przedrozbiorowe z późniejszemi, a wreszcie ze stanem rzeczy dzisiejszym. Owóż za czasów rzeczypospolitej szlachta polska była stanem bardzo poważnym i walnym: bo każdy szlachcic osiadły był z obowiązku żołnierzem i był zarazem tym jedynym obywatelem, który dźwigał na sobie wszelkie trudy i prace narodu. Zdarza się często dziś słyszeć, iż szlachcic był wtedy także rolnikiem. Ale to tylko pusty jest frazes. Żaden szlachcic podówczas rolnikiem nie był: a to nietylko dlatego, iż owoczesne rolnictwo było tego rodzaju, że się na żaden sposób nie może nazywać zawodem, — ale głównie dlatego, iż żaden szlachcic nie miał natenczas dochodów z ziemi, a każdy majątek tylko tyle przynosił, ile była warta przywiązana do niego pańszczyzna, daniny, czynsze, propinacya i inne regalia. Przejrzyj pan gospodarskie rejestry, choćby nawet i Grodowiskie, a przekonasz się o tem dowodnie. Szlachcic tedy za czasu Rzeczypospolitej rolnikiem nie był: tylko był panem, który swoje przywileje materyalne za pośrednictwem ziemi spieniężał. Po rozbiorze Polski szlachcic żołnierzem i obywatelem w dawniejszem tego słowa znaczeniu być przestał — ale przez to rolnikiem nie został; bo jak wiadomo, rolnictwo nasze przez długie czasy jeszcze, z małemi wyjątkami, było w tym samym stanie, w jakim się znajdowało w Rzeczypospolitej. Czemże tedy był szlachcic przez wszystkie czasy po-rozbiorowe? — oto po prostu niczem. Zasługi szlachty nawet i przez te czasy są wielkie, i może im ich zaprzeczyć tylko zła wola: bo nie licząc już tych mnogich usiłowań, które się zawsze kończyły wielkiemi ofiarami i poświęceniami, szlachta-to głównie żywiła ducha narodowego w sobie i przy sobie, i ona-to w takiej sile i rozrodzeniu przyniosła go pokoleniom dzisiejszym. Ale mimo to szlachcic wtedy był na polu politycznem tylko luźnym zapaśnikiem walczącym wedle swojej przyrodzonej fantazyi — a na polu socyalnem niczem, *fruges consumere natus*. Dopiero zniesienie poddaństwa zadało też jego nicości społecznej cios stanowczy i ostateczny. Nie odzyskał on wprawdzie przez to swego historycznego rycerstwa i obywatelstwa w dawnem znaczeniu: lecz posiadając dziś ziemię, z dawnych przywilejów obraną, został zniewolonym do zamienienia się w rolnika z zawodu i powołania, a zarazem do zajęcia tego obywatelskiego stanowiska w społeczeństwie, którego przez wszystkie czasy porozbiorowe nie miał, a po które dziś z konieczności, i sam będzie musiał posięgnąć, i musi mu być danem koniecznie. Uważ pan, ile z tego jednego wypadku wypływa i dla szlachty i dla narodu korzyści. Szlachta, jako taka, istnieć przestaje, ale natomiast zaczyna byt nowy jako stan rolniczy, stan najpiękniejszy, najszacowniejszy i najpotrzebniejszy w narodzie i w państwie. Wszystkie te siły moralne, które posiada tak bardzo rozrodzona dziś szlachta, których bardzo wiele posiada, a które dotąd z powodu łatwości chleba na uprzywilejowanej ziemi marniały bezpożytecznie — ziemia dzisiejsza, wypłacająca się tylko za umiejętność i pracę, musi w ruch puścić koniecznie i zużyć na pożytek narodu: a których ona sama nie zużyje, te ku zawodom innym odrzuci. Ileż tu z grona samej szlachty musi się nowych wyłonić szermierzy w krainie myśli i ducha, ile pracowników w winnicy Pańskiej, ile obywateli! A ci, którzy zostaną przy roli, muszą się stać rolnikami umiejętnymi, uprawiającymi tę ziemię z pożytkiem, dbającymi o jej prawa i losy, o stosunki przemysłowe, handlowe, fabryczne, społeczne i polityczne, muszącymi ją kochać koniecznie, walczyć o nią, i bić się, i zginąć w potrzebie. Wielka to była potęga w naszym narodzie ta idealna miłość dla ojczyzny i wiary, która naszą historyę zamieniła jak gdyby w jeden bohaterski poemat: ale kiedy idealizm skutkiem zmiany uczuć i wyobrażeń został ściągniętym na ziemię, ażeby przyjął ciało i krew i stał się chlebem powszednim, racz mi pan wierzyć, iż jego rolę bardzo godnie zastąpią te związki realne człowieka z ziemią, związki wszechstronne, głębokie i blizkie, które w dzisiejszych czasach realnych sporządzić i utrzymywać może tylko umiejętne rolnictwo. O powołaniu dzisiejszem rolnictwa, a mianowicie o jego znaczeniu moralnem, społecznem i politycznem, wiele-by trzeba rozprawiać, bo tym przedmiotem jeszcze dotąd w ogóle zbyt mało się zajmowano: ale jeszcze daleko więcej można-by powiedzieć o tym przedmiocie ze względem na Polskę, gdzie naturalne podstawy rolnictwa są jeszcze tak obszerne, iż na nich można-by zbudować gmach tak ogromny i okazały, jakiego niemasz dziś nigdzie w całej Europie zachodniej. Widzenia moje w tej wielkiej sprawie kiedy-indziej panu wyłożę, — a tymczasem proszę, ażebyś raczył wybudować w swej wyobraźni postać takiego narodu, w którym takie ogromne obszary ziemi pozostają w ręku takiego stanu, co wielo-wiekową

uzacniony zasługą, potężny swoją dziejową tradycyą, chowający do dziś dnia w sobie całą dziejową własność narodu, staje się teraz sam stanem rolniczym. Stan ten, gdy zechce, może dziś opanować wszystko, co tylko żyje i rusza się w całym narodzie: on, jedyny producent w kraju, może ująć w swą rękę cały przemysł i handel i wszelką fabryczność, — on, jako najbogatszy właściciel ziemi i rolnik a oprócz tego związany z ludem stosunkami, już-to dawnemi a jeszcze niezerwanemi, już wypływającemi z potrzeb dzisiejszych, może ten lud tak oświecić i tak poprowadzić jak zechce, — on wreszcie, jako jedyny dotychczas jeszcze konsument literatury, a głównie zasilający woją młodzieżą wszelkie zawody inne, może się stać kierownikiem narodowej oświaty i główną podporą wszelkiej pracy wewnętrznej. On wszystko może.... I jestem przekonany najmocniej, że wszystko to zrobi i doniesie sztandary narodu do ludu z taką świetnością i chwałą, z jaką je niósł przez dziewięć wieków: a rękojmią tego jest właśnie nie co innego, tylko zniesienie poddaństwa i przywilejów szlacheckich. To bowiem i to jedynie, zniewoliło szlachtę do umiejętnej pracy około roli, do żywego zajęcia się losami tej ziemi, która się stała na teraz jedyną jej żywicielką; to ją też zniewoli do odgrywania tej samej roli narodowej i politycznej, jaką odgrywała przez dziewięć wieków, i odgrywania jej aż dopóty, dopóki jej wszelki duch Boży na tej ziemi żyjący w tej świętej pracy nie dopomoże. — Tak, mój kochany proboszczu! — zakończył wreszcie Dobiesław, — takie jest moje widzenie rzeczy, sądzę, że zgodne z prawdą istotną. Szlachta przez zniesienie poddaństwa nic nie straciła; bo kiedy przy utrzymaniu swych przywilejów nadal musiała-by była zgnuśnieć koniecznie i stać się martwą bryłą w narodzie, czego już nawet wyjątkowo istotne zaczęły pokazywać się ślady: dzisiaj pod karą śmierci dwoistej, bo moralnej i materyalnej, musi się stać jego częścią żywotną, dzielną i świetną, koniecznie. Że ją dziś trochę bieda przygniata, to jest rzecz smutna. Ale najpierwej, że pan się obchodzi o jednym lokaju a pani jeździ do kościoła wózeczkiem, nie jest to jeszcze tak wielka bieda; a powtóre, chociaż-by nawet była tu i ówdzie bieda istotna, to jest ona bez wątpienia tylko wyjątkową i tylko chwilową — a jako taka nie może wchodzić w rachubę przy obliczaniu widoków społecznych i politycznych. Dlatego mogę tem śmielej zakończyć: iż jeżeli pan na losy naszego narodu zechcesz spoglądać przez szkiełko dnia dzisiejszego, to zapewne, że będziesz miał na to narzekać; ale jeżeli wielki dziejowy czyn zniesienia poddaństwa zechcesz osądzić wedle dziejowych rozmiarów, to nie będziesz narzekał i będziesz dobrej myśli wraz ze mną.

Kiedy Dobiesław to mówił, zacny X. Grzegorz prawie się nie posiadał z radości. To biegał prędkiemi krokami po izbie, to stawał i słuchał, to mu przerywał, mówiąc: — A co? a jak? a nie mówiłem? a nie powiadam? — Kiedy zaś Dobiesław skończył, on go chwycił za obadwa ramiona i zawołał: — Chodź-że tu niech cię uściskam! Ja to samo zawsze powiadam. Ale nie chcą mi wierzyć i mówią: Wikary wszystko w różowych widzi kolorach, wikary demokrata, wikary demagog! Chwałaż Bogu, że jest ktoś drugi, uczeńszy i wymowniejszy odemnie, który mnie poprze. Daj-że mi rękę, bo odtąd pójdziemy razem, i spodziewam się, że porozpędzamy te czarne chmury, któremi i siebie i nas i całą społeczność trują ci, ci, ci... *laudatores temporis acti!*

Tymczasem zaś kanonik, jakkolwiek może się nie dał przekonać, przecież się trochę weselej uśmiechnął i rzekł:

— Na to wszystko, coś WPan Dobrodziej powiedział, mógł-bym się może i zgodzić, zwłaszcza po dokładniejszem roztrząśnieniu tego przedmiotu, na który w tak dalekich i wielostronnych widokach, chętnie to panu przyznaję, jeszcze mi się zapatrywać nie przyszło. Ale gdybyś mnie pan nawet we wszystkiem innem przekonał, to w tem nigdy mnie nie przekonasz, że nasza bieda dzisiejsza jest nic nie znacząca. Pan jeszcze nie możesz nic o tem mówić, bo dopiero dziś przyjechałeś; ale będziesz już mógł mówić niebawem, bo dosyć ci Grodowiska obaczyć, ażeby nabrać pewnego o naszej biedzie pojęcia. Co się dziś dzieje w Grodowiskach, to wszędzie się dzieje. Grodowiska to wierny obraz całego kraju, z tą wszakże wielką różnicą, że nasze poczciwe parobczaki nabrali jakoś ostatniemi czasy cokolwiek lepszej fantazyi, a w kraju martwo i głucho jak w grobie...

Na wspomnienie Grodowisk Dobiesław nagle posmutniał i wstrząsł się widocznie; zaczął się niespokojnemi krokami przechadzać po izbie, lecz milczał. Tymczasem kanonik zabrał głos na nowo i mówił dalej prawie z ironią:

— No! ale po tem, cośmy usłyszeli od pana, i my się o nasze losy już nie będziem frasować. Kto tak jasno widzi, jakie są dziś obowiązki szlachcica, ten też ich potrafi dopełnić. Grodowiska mogą wykrzyknąć Vivat! na pańskie przybycie: pan je wyratujesz.

— Ja? — zawołał na to Dobiesław, a prawie przerażająca boleść odbiła się na jego wybladłej twarzy, — ja? a to jakim sposobem? — Och! Panie drogi! ja-bym krwi ulał z pod serca dla wybawienia tej ziemi, w której tylu moich ojców i dziadów spoczywa; ale cóż zrobić? —

Kiedy to mówił Dobiesław, wikary stojąc z daleka zacierał ręce z niecierpliwości i wszelkiemi możliwemi znakami kanonika do dalszego prowadzenia rozmowy w tym kierunku zachęcał; kanonik mu kiwnął głową i zaraz rzekł do Dobiesława:

— Pan nas z tej niewoli wyjarzmisz.

— Ja? — zawołał znowu boleśnie Dobiesław, — ależ zmiłujcie się! cóż ja tu mogę? — Poczem mówił także nie bez ironii: — Chyba że wymagacie po mnie, ażebym burdę jaką wyprawił. Jeżeli tego chcecie, to dobrze. Zbiorę wiejskich parobków, uderzę na Prusaków i ze wsi wypędzę. To najłatwiejsza, bo jest ich wszystkiego kilkunastu, a parobków jest cała

wieś. Ale co potem? Ażaliż za pare tygodni nie wejdzie w to sąd i nie wprowadzi ich tutaj na powrót?

— Oh! — rzekł z uśmiechem kanonik, — o tem się na teraz nie mówi: ale pan Grodowiska wykupisz.

— Ja Grodowiska? zmiłuj się pan, a za co? Czyliż pan nie wiesz, co mam i co mieć mogę? Za połowę sprzedanych publicznie Grodowisk da mi mój brat podobno dziesięć tysięcy: to mój cały majątek. Czyż z tem można zakupić dobra, kosztujące może sto a może i więcej tysięcy?

— Ja w to nie wchodzę, — rzekł na to nieubłagany kanonik, — jak pan to zrobisz; ale słyszawszy, jak pan nasze rolnicze sprawy dokładnie rozumiesz, jestem przekonany, że już to jakoś koniecznie zrobisz i Grodowiska wykupisz.

Prawie z gniewem spojrzał na proboszcza Dobiesław i był-by mu był może nawet co przykrego powiedział, kiedy w tem ozwał się prędko wikary i tak mówił:

— Xiądz kanonik sobie żartuje, jak zwykle; ale ja prawdę ci powiem. Słuchaj mnie Dobku! to nie jest niepodobieństwem, ażebyś ty Grodowiska zakupił: ja ci zaraz wyliczę dlaczego. Najpierwej, weźmiesz nie dziesięć tysięcy od Krzesława, tylko połowę tego, co on wziął od Prusaków, bo przecież brat brata nie zechce obedrzeć: nie dopuści mu tego sumienie i nie dopuściło-by tego w razie potrzeby obywatelstwo. Powtóre, przypada ci przecież połowa indemnizacyi, która jak mi się zdaje jest już obliczona na pięćdziesiąt i dwa tysiące. Zrobi się tedy z tego sumka wcale nieszpetna. Po trzecie, Prusacy nie mogą dziś żądać za Grodowiska zbyt wiele, bo oni nóż mają na karku i poły odetną, aby się tylko od tego ciężaru uwolnić. Po czwarte, Grodowiska są obdłużone, i wcale nie trzeba na nie wiele pieniędzy; ile sam zechcesz, tyle długów ci przy gruncie zostanie, a nawet pozakupujesz je poniżej wartości, bo każdy będzie wolał mieć choćby tylko dwie trzecie części swojego kapitału u siebie, niżeli u takich Prusaków. A co? czy nie jest ta rzecz jak najzupełniej podobną?

— Nie, — rzekł stanowczo Dobiesław, — całkiem nie jest podobną. Bo wszystko to tylko się tak xiędzu Grzegorzowi wydaje. Najpierwej, brat nie da mi więcej jak wziął po licytacyi, bo widoczną jest rzeczą, że na to Grodowiska sprzedał. Powtóre o indemnizacyi ani myśleć teraz, bo jeszcze nie jest wydana. Po trzecie, Prusacy tanio nie sprzedadzą, bo mają przecież długi, które muszą popłacić. A gdyby nawet wszystko się tak dało ułożyć, jak jegomość powiadasz, to pomyśl sam, czy jest podobieństwo, mając jakie trzydzieście tysięcy, przystępować do kupna majątku za sto tysięcy, majątku tak zniszczonego i położonego w kraju takim, gdzie ciężary tak wielkie, opieki dla rolnictwa żadnej, a kto nie ma do swego gospodarstwa znacznego kapitału obrotowego, ten go nigdzie nie dostanie. Nie xięże Grzegorzu! to-by był krok szalony, który-by i wam nie pomógł i mnie-by zgubił na zawsze. Dlatego proszę was na wszystko, wymagajcie każdej ofiary po mnie, żadnej wam nie odmówię; ale nie wymagajcie, abym popełnił szaleństwo, które-by mnie zgubiło a wam żadnej-by nie przyniosło korzyści.

Jeszcze raz natarli obadwa xięża na Dobiesława, jeden z ironią a drugi z miłością; ale już wtedy prawie rzucił się na nich, wołając:

— Jeżeli mnie tylko cokolwiek kochacie, ani słowa już o tem! Nic przykrzejszego nie może być dla człowieka, jak kiedy inni wymagają czegoś po nim na pewno, czego-by on z całego serca dopełnił, ale widać jasnemi oczyma, że dopełnić nie może, bo nie ma sił, ani środków po temu. Proszę was, ani słowa już o tem!

Zaczem zasiedli wszyscy trzej do wieczerzy, ale już odtąd smutno było pomiędzy nimi. Zawsze taki smutek rozsiada się w sercach Polaków, ile razy dotkną swojej przyszłości, której wszyscy tak gorąco pragną i wyczekują, a którą ciągle tak grube i ciężkie zasłaniają zapory....

Tu były jeszcze do smutku partykularne powody. I tak kanonik zasmucił się dlatego, iż go Dobiesław zanadto ucinkowo odprawił; Dobiesław dlatego, iż go nieoględne wymagania Xięży zabolały piekielnie i bał się, ażeby jego chęci najszczerszych nie osądzono fałszywie; wikary zaś nietylko się zasmucił, ale nawet patrzał na Dobiesława z nieufnością, z niedowierzaniem, z podejrzliwością. Tak zawsze patrzą ludzie zbyt gorącego serca na ludzi tych, którzy nie mają żadnych skłonności do popełnienia szaleństwa, a lubo są tak samo dla dobra ogólnego wylani, jak tamci, jednakże poważniejszym opatrzeni umysłem chcieli-by, aby każdy ich krok, każdy czyn, każda ofiara, rzeczywiste przyniosła korzyści. Obadwa byli jednakiej wiary i chęci jednakich; ale nie jednakową mieli gorącość krwi, a u nas i tego dosyć do zasiania ziarna niezgody. Nie zawsze rzucimy klątwę na odstępców i zdrajców, chociaż jest tego potrzeba, ale niech tylko ktoś drugi, chociaż wiary najlepszej, nie czuje i myśli z nami tak wiernie jak kopia z oryginałem, zawsze jesteśmy gotowi do walki z nim, choćby na zabój, choćby ze szkodą sprawy publicznej. Po zniesieniu przywilejów materyalnych, są ludzie, którzy chcą zaprowadzić przywileje myśli i zasad. Każdy chce dziś być oryginałem i żąda, ażeby wszyscy byli tylko jego kopiami. A zaprawdę, że w drugiej połowie XIX wieku już czas jest i wielki ażeby dobra wiara znalazła należyte dla siebie poszanowanie — i ażebyśmy dozwolili każdemu być samym sobą, jeżeli tylko czuje się sobą w narodzie.

Dobiesław widział to podejrzliwe usposobienie u wikarego, i jeszcze bardziej tem się zasmucił. Wikary go miał za człowieka, któremu brak dobrych chęci! A przecież, kiedy się do snu ułożył, to nie spał przez całą noc i o niczem innem nie myślał, jak tylko o wydobyciu Grodowisk z rąk pruskiego plugastwa....

(*Dokończenie nastąpi*).

*

NOC NA STEPIE.

Na zachód niebo jasne; a światło się mąci,
Grą kolorów zachwyca — i siatką promieni
Rzuca hojnie: raz zblednie, to znów się zczerwieni,
I rąbkiem szaty drogiej jeszcze o wschód trąci.
Jak ognisko na stepie tak pół oka słońca
Siadło nizko śród trawy, kędy krawędź nieba
Styka się z łonem matki codziennego chleba —
I świeci jeszcze tylko jak lampa płonąca.
Gwar w powietrzu: tu konik pieśń wieczorną gwiźnie,
Tam zaszumią burzany lub trawa szeleśnie
Kiedy miękka gadzina śród niej się prześliźnie —
Owdzie ptaszę wywodzi dziękczynne swe pieśnie;
A tu owdzie zabrzęczy zabłąkana pszczoła,
Co z pyszczkiem miodu pełnym swego szuka sioła.
Reszta cicha — spokojna: w czysty szmer natury,
Nie mieszają się inne głuszące go chóry.
Jak kadzidłem ofiarnem tysiąc kwiatów, traw,
Wonią w górę lecącą dziękczy niebios panu
Że im także do życia poudzielał praw,
Siejąc ziarna ich w rolę stepowego łanu.
A woń ta, aromatem aż prawie upaja! —
Coraz ciszej — już słońce w kłosach trawy ginie,
I zmrok coraz ciemniejszy ode wschodu płynie —
A cisza dziwnie słodko uczucie nastraja:
Żywe życie zaumiera,
Dla tajemnic się otwiera
Cicha, pełna złudzeń noc, —
Światło ginie, ciemność płynie,
Całe życie na równinie
Duchom stepu daje w moc.
I jedna, druga gwiazda śród nieba
Promiennem okiem mrugła ku ziemi,
A stary miesiąc — w drogę mu trzeba —
Więc wyszedł świecić pomiędzy niemi. —

Bladą jasnością tlało na niebie;
Wzrok w poły senny niosłem przed siebie;
Przed wzrokiem w zieleń strojna równina,
Na niej kopczyska — kurhan, mogiła —
Czasem mogiłę brzoza okryła —
Jako grób jeden wsza Ukraina! —
Brzoza się chyla mogiły wita,
Szelestem przeszłość z kurhanów czyta,
Lub szmerem butnym wiatru się pyta:
— Znasz kraju mego przesławne czyny?
Wiesz że mogiły, że te kurhany,
Ta ziemia kryje cne Atamany,
Czy znasz ty orłów mej Ukrainy? —
A wicher pędzi i świszcze
W siczy skopciałe zgliszcze,
A nutą smutną przygrywa —
I porwie brzozę w ramiona,
Tuli pieszczotnie do łona,
Jęknie — i znowu się zrywa —
A pędzi w rosłe burzany
Krajem co trawą zalany
I w oczeretach jęk tłumi —
Lub Dniepru zsiniałe wody
Draśnie, a jakby na gody
Aż gdzieś w porohy zaszumi.
Późno. Hej chwila już duchów bliska...
Na gwiazd promieniach zlata ich krocie...
Północ, — a niby hasło igrzyska
Szmer jakichś dźwięków ozwał się z dali,
Brzmiał, przebrzmiał; zniknął jak kręg, gdy w locie
Jaskółka skrzydłem muśnie po fali.
Wtem step majaczeć zaczął sinawo;
Niby się rozpadł w lewo i prawo,
Trawy zniknęły, a wnet bałwany
Niestworne z sobą zaczęły tany! —
A w dali dziwne rosną przedmioty:
Błysły meczety — cały róg złoty
I w zdłuż i w szerz
Tysiącem wież.
Aż jeden bałwan wzniósł się, i grzmi,
I czystą wodą perli się, szkli —
Piętrzy się, leci — grozi i jęczy,
Błyska kolorem stóbarwnéj tęczy
I pęka w bród!
A z fali wód
Wytrysną lekkie czajki kozacze;
A każda zwinna, pluska się, skacze,
A na nich piękna młódź Ukrainy,
Sokoły Siczy — i Dniepru syny!
Lecz wszystkim jedna większa przewodzi;
Czajki się cisną koło tej łodzi,
A w niej się zerwał Ataman młody
I Zaporożcom na gmachy wskaże:
— Patrzcie to Stambuł! pogany wraże
Jeszcze w śnie miękkim się tulą, —
Lecz nim dzień zejdzie — z ognia koszulą
Przyświecim my im na gody!*) —
A z czajek okrzyk podniósł się wiankiem:
— Niech żyją, Neczaj z Bohdankiem! —
I płyną dalej
Po morza fali,
I stukną wreszcie o stały ląd,
Więc spuszczą snadno
Kotwice na dno
By łodzi morza nie porwał prąd, —
A sami szybko na brzeg wyskoczą,
Bitwą święcony sztandar roztoczą,
I w szykach biegną do miasta bram.

Ciche milczącym snem wszystko tam;
Tylko z meczetów modła derwisza
Słowa koranu do wiatru miesza...

Wtem okrzyk bitwy z przedmieść się wzniósł:
I strzelby silnej łoskot gromowy
Poleciał z kulmi nad pogan głowy,
I tylko w wrzawę a siłę rósł.

*) Uszyć ognistą koszulę Stambułowi, znaczyło u Zaporożców, napaść, spalić i splądrować Stambuł.

Ze snu zbudzeni, złością roznieceni,
Tłumem Allaha prawowierni płyną —
Śród dymu bitwy, śród zamieszki giną,
Albo dosiadłszy pysznych wiatronogów,
W szalonym pędzie napadają wrogów,
Lub zwyciężeni błagają o życie,
Lub z pola walki umykają skrycie. —
A tu dym bitwy coraz bardziej wzrasta,
I ledwie znać już kształty gmachów miasta,
I nikną zwolna postacie walczących,
Kształty zgromionych i kształty gromiących —
Chwila — a wszystko we mgłę się rozwiało,
I jako obłok wiatrami leciało. —

Całe morze jako dym,
Jako burzy wieść
Zwisło w górze, gdzieś na Krym
Szumiąc deszcze nieść.
Wolnym świstem wicher gra,
Pędzi szmaty chmur:
Całe białe — szarych ćma,
Niby tuman piór.
— Gdzie ci wietrze w górę tak?
Patrz na ziemię, wioń, —
Siadła chmurka, biały ptak,
I tuli się doń.
— Darmo wietrze, darmo dmiesz
Lot rozpuszczasz w szerz
Chmurka biała niby spi,
Coś marzy a śni. —
Upadł gdzieś wiater w burzany,
Chmurka podniosła się płowa
Jak dym, gdy ogień czabany
Niecą — i gore stepowa.
Stanie raz słupem — to wiją
Kłęby się wężem, lub żmiją,
Czołga — po stepie się wlecze
Zbliży i znowu uciecze.
Lecz oto chmurka w wiatr się rozpływa,
Unosi w górę, oku odkrywa
Smukłego konia, stepu bieguna
Z głową wzniesioną do lotu —
W wzroku mu błyska iskra pioruna
Jak gdy poprzedza jęk grzmotu.
A na nim siedzi jak posąg żywy
Praworna postać kozaka:
Z boku mu spływa damaszczyk krzywy,
A kozak, widać hulaka —
Bo mu jatagan krew świeża broczy!
Znać że czyjegoś zażądał zgonu —
Lecz cóż to kaptur kryje mu oczy,
Czy on jest bratem zakonu?

Hej gdzieś od Dniepru stepy zadrzały,
Zabrzękły głucho, — dreszcz stepem jedzie,
Tętni, — coś leci jak tabun cały;
Czy Murza pogan na Polskę wiedzie?
Wtem wraz — z wszech stron co ma je świat —
Szybkością miecza niesiony
Siczy na koniach przyleciał kwiat;
Stanął — i smutny, zdziwiony
Patrzy przed siebie; — a kozak mnich,
Wzrok swój, co orły w bój woła,
Utkwił żarliwie w obliczach ich —
A patrzał w wszystkich do koła;
I kaptur zdjął,
W ręce go zmiął —
O ziemię cisnął,
A kordem błysnął,
Głasnął zbroczone żeleźce noża:
– Hej za mną dziatwo, hej Zaporoża! —
A na to hasło, kozacze lice
Rozwidnił podmuch radośny,
I ogniem boju błysły źrenice;
A okrzyk wzniosły, donośny
Rozdarł powietrze i stu tonami
Poleciał po nad ostrowy:
— Niech nam dowodzi, niech nam hetmani
Bat'ko, Ataman koszowy! —

I wszyscy wraz jak jeden koń
Raźno ucięli z kopyta,
A gdzie im lot, gdzie niosą broń,
Niech ich Bisurman popyta —
Bo oto kędy się zżyma,
Czernią się wieże Chocima. — (*Dokoń. n.*)

OPOWIADANIE o KRÓLU JANIE III.

przez

KAROLA SZAJNOCHĘ.

Opowiadanie I. **Mściciel.**

(Żytomierz r. 1860.)

(*Dokończenie.*)

Znakomity w narodzie, podróżami za granicą wykształcony i ze wszech miar uczony Jakób Sobieski, chował wielce troskliwie synów swoich, a wedle późniejszych słów własnych Jana uczył ich zaraz z abecadłem wiersza z nagrobku pradziada. „*O quam dulce et decorum pro patria mori.*“ Po skończonych jedynastu latach Marka a dziesięciu Jana wyprawiono ich, w towarzystwie dwóch nauczycieli, trzech wyrostków szlacheckich, do zabawy i posługi przeznaczonych i trzech sług, do akademii krakowskiej. Sebastyan Orchowski, towarzysz niegdyś jako wyrostek ojca w podróżach, przewodził domem uczących się młodzieńców, a ojciec sam spisał instrukcyę wychowania. W instrukcyi tej stało między innemi. „A jeżeliby częstego napomnienia i strofowania nie słuchali, czego o nich nie rozumiem, niech mi da znać pan Orchowski, a ja będę wiedział, co o tem rzec — jest pręt do tego, pod którym młodzi rosną.“

Instrukcya ta nakazywała codzienne mszy ś. słuchanie, odwiedzanie odległych kościołów w święta, dawanie jałmużny i zachowywanie postów. Obok łaciny uczyć się miano języka francuzkiego i niemieckiego. „Na jurysprudencyą i matematykę przeznaczona była kolej w latach następnych. W logiki i metafizyki — pisał ojciec — niech się nie wdają, tego nie chcę i zgoła nie chcę, bo to nauki próżniaków, albo duchownych, oni zaś niech się ćwiczą do spraw publicznych“.—„Najwięcej zależało jak na teraz starać się o przytomność umysłu, nabycie swady, wprawienie się w sztukę panowania nad ludźmi słowem i ruchem oratorskim“ — mieli więc wojewodzice przyuczać się należytej akcyi przy deklamacyach i uczęszczać na popisy krasomowcze.

Zalecała instrukcya przestrzeganie wielu form etykiety i tak przepisano tam: „W kościele lub na inszem miejscu, gdzie będą, żeby miejsce swe wiedzieli i posiadać się nie dawali nigdzie i prawej ręki sobie brać, jedno wyższym wojewodzicom niż oni. Teraz nie masz tam w akademii wyższego wojewodzica i senatorskiego syna nad nie, jedno pan wojewodzic sieradzki, to tego przed się puszczać mają. A że z domem JMCi panów Sieniawskich taka jest miłość moja ścisła, niech więc kiedy z panem Sieniawskim będą, lubo nie jest wojewodzic, tylko syn chorążego, niech mu Jaś przed sobą rękę i miejsce puszcza wszędzie, ale Maraś nie, niech go więc biorą między siebie w pośrodek.“ — Po kilkuletnim pobycie w Krakowie wyprawił wojewoda synów do Francyi, dokąd im wielką oszczędność w wydatkach zalecił. W Paryżu uczyli się wojewodzice polityki, w dalszej podróży przez wypytywanie statystyki, w Niederlandach architektury wojennej, a„wszędzie towarzyszyć miało nauce prywatne czytanie książek, rzecz nieskończenie użyteczna, a czasem bardzo miła.“

Folgując zwyczajom dworu francuzkiego pozwala wojewoda synom uczyć się tańca *à la gaillarde* i przedniejszych pląsów u dworu, a wreszcie muzyki, ale dodaje: „co się mnie tknie, to ja o to nie dbam, bodajeście na koniach da Bóg tańcowali bijąc się z Turki, z Tatary“ — a co do muzyki robi uwagę: „Ale przyznam się, żebym żałował tego czasu, cobyście na tem błazeństwie strawili. Będziecie da-li Bóg mieli tyle dostatków, ze możecie muzykę chować. Lepiej że oni sami wam będą grać niż wy sobie.“

Niebawem po wprowadzeniu młodych Sobieskich na dwór królewski w Paryżu, umarł Jakób Sobieski (r. 1646), dostąpiwszy najwyższej świeckiej godności w koronie, bo kasztelanii krakowskiej, a młodsi udali się w dalszą podróż do Włoch i Turcyi. Podczas pobytu ich w Turcyi, zagroził osieroconej po śmierci Władysława IV rzeczypospolitej Bohdan Chmielnicki na czele zbuntowanego chłopstwa i tłuszcz tatarskich, a na wezwanie matki wrócili kasztelanice do kraju.

O Bohdanie Chmielnickim wspomniał już pierwej Szajnocha w swem opowiadaniu. Ojciec Bohdana, Michał Chmielnicki, żył na dworze hetmana Żółkiewskiego, przeniósł się następnie na dwór jego zięcia Daniłłowicza do Oleska, a przez tego osadzony w starostwie korsuńskiem na Ukrainie. W ostatniej wyprawie starego hetmana brali udział Michał Chmielnicki i syn jego Bohdan, pierwszy poległ pod Cecorą, drugi powrócił po długiej niewoli. Bohdan odznacza się w rozmaitych wyprawach kozackich i zostaje pisarzem wojskowym, a królowi także znany. Do wystąpienia przeciw krajowi, któremu pierwej służył i dalej służyć zamierzył, daje mu powód spór o jego własność z korsuńskim podstarościcem Czaplińskim.

Po wygaśnieniu Daniłłowiczów, oddano starostwo korsuńskie bardzo młodemu Aleksandrowi Koniecpolskiemu, „a oddawanie starostw dzieciom w pieluchach liczono zawsze do głównych przyczyn nieszczęścia Ukrainy“ dla niefortunnych rządów sługalców pańskich. Spór Bohdana z podstarościm Czaplińskim nie powiódł się pierwszemu w trybunale, a mogąca go uspokoić łaska króla, co zamierzając wojnę z Turcyą zorganizował w tym celu wojsko kozackie i Chmielnickiego pisarzem polnym kozackim zamianował, spełzła na niczem, bo na sejmach „obalono z wrzawą wojenny projekt królewski, upatrując w nim skryty zamach na swobody szlacheckie. Wszystkie poczynione przez króla kroki, umowy z posłami zagranicznemi, zaciągnięcie żołnierza cudzoziemskiego, otworzona kozakom nadzieja większych swobód, uległy najopaczniejszemu wykładowi u szlachty. Z prawdziwą niewdzięcznością względem takiego króla jak Władysław IV, obnoszono się pogłoskami o przygotowanych przezeń nieszporach sycylijskich, o wynalezionej u dworu alchymii politycznej, która z chłopa zrobić miała szlachcica a szlachcica obrócić w chłopa.“

Minęło więc Chmielnickiego przeznaczone dostojeństwo kozackie, a powszechne teraz uprzedzenie przeciw Kozactwu pomogły Czaplińskiemu do dalszych przeciw niemu kroków nieprzyjaźnych, a nakoniec do pozbawiania go wolności. Umknął Bohdan z więzienia i udał się na Niż, próbował ztamtąd jeszcze upominać się o swoje prawa i przywrócenie swobód Kozactwu udzielonych, a gdy to nie osiągnęło skutku począł zwoływać do siebie lud ukraiński i związał się nakoniec przeciw rzeczypospolitej z Tatarami.

Mimo niefortunnej potyczki u Żółtych wód i klęski pod Korsuniem, lekceważyła sobie szlachta ciągle nieprzyjaciela, co pojmał dwóch hetmanów i którego siły olbrzymio wzrastały. A kiedy się zebrało nowe wojsko „około trzydzieści do czterdziestu tysięcy rycerstwa szlacheckiego i trzy razy tyle pacholików i ciurów z muszkietami“ to niewierząca w stałą spółkę Chmielnickiego z Tatarstwem szlachta, pewna była zwycięztwa nad samą zgrają kozacką, nie dobywając nawet oręża przeciw chłopom, lecz łyżkami ich bijąc. W osobliwszem też uniesieniu fantazyi i animuszu górnego uwzięła się szlachta okazać przed całym światem, że teraźniejsze ruszenie swoje przeciw chłopom kozackim poczytuje sobie nie za wojnę prawdziwą, lecz za wyprawę godową i odpowiednio temu wystąpiła z trudnym do opisania przepychem“. „Panowie koronni wybrali się od porpurowych ze złotemi węzłami nie tylko rydwanów, ale skarbnych wozów, od szat, srebra, klejnotów, obicia i t. d. Sto tysięcy wozów kowanych wiezło dostatki i kosztowności całej Polski na Ukrainę. Nie było to ani zwyczajem wieku ani dowodem rozpieszczenia narodu, lecz tylko jak powiedziano butnym wybrykiem zarozumienia, chcącego w uderzający sposób okazać pogardę nieprzyjacielowi“.

Kiedy ta ogromna armia stanęła pod Pilawcami, mimo doświadczonej już pierwej zdrady wstrzymano się od kroków wojennych, folgując proponowanym posłuchaniom i traktując układy. A któż nam będzie robił pańszczyznę, jeśli chłopów wybijem—mawiał książe Dominik na Zasławiu. Tymczasem kozakom przybyły nowe posiłki tatarskie i rozpoczęli harce „w których dla tym większego strachu panów pospolitaków wystąpiły zgraje chłopstwa w stroju tatarskim, z okrzykiem; Ałła! Ałła! Po przechwałkach szalonego zarozumienia, wzięła górę dziecięca małoduszność“ — „za czasu unikając nieszczęścia wyjechał X. Dominik z przedniejszymi panami jakoby na zwiady z obozu, — i nie wrócił, — za wodzem uszło w nocy całe pospolite ruszenie — pozostawiając w obozie wszelkie skarby i kosztowności“.

Powracających z Turcyi do domu kasztelaniców Sobieskich powitała matka: „Nie znałabym was za synów, gdybyście kiedy powrócili do domu jak ci rycerze Pilawieccy“ a kiedy ci wybierali się na nową przeciw kozakom wyprawę „stanęła Teofila (Sobieska) z synami u grobowca ojcowskiego i wskazując na wyrzezaną tam w herbie tarczę Sobieskich, powtórzyła one słowa matki Spartańskiej: Albo z nią, albo na niej. Synowie przysięgli nie splamić herbu i pomnieć ciążącego na nich obowiązku mszczenia krwi przodków na Tatarach“. Przyczynił się też Marek Sobieski do porażki walnej Kozaków pod Zborowem, i odznaczał się w następnych expedycyach, za jego pomocą postanowiona ugoda, a za chwilowym powrotem spokoju odznacza się młody starosta Krasnostawski posłując na sejmach“. Szczęśliwemu powszechną miłością ludzką i pierwszeństwem wieku, dającem mu w 23 leciech powagę głowy domu i rozległej fortuny, ustępować musiał wszędzie młodszy brat Jan, zaledwie jakiem skromnem słówkiem wspomniony w tej porze. „Dumne swoim pierworodnym serce Teofili Sobieskiej patrzyło z radością w otwierającą mu się przyszłość chwały, godną świetnej przeszłości przodków“. — W r. 1652 wyruszył młody starosta Krasnostawski jako pułkownik na Podole pod rozkazy hetmana poln. Kalinowskiego, a tu wśród pokoju, kiedy wcale nie spodziewano się niebezpieczeństwa, napadł na obóz polski pod Batowem Chmielnicki z ordą, i „z dziewięciu tysięcy rycerstwa polskiego zaledwie dziesięć głów uszło cało:“ Marek poległ a „wspólna mogiła ofiar batowskich pokryła nie uczczone pogrzebem zwłoki“.

Jan Sobieski jest odtąd dziedzicem Żółkwi, Oleska i Złoczowa „i zaciężył na nim obowiązek pomszczenia przodków“.

Rozpamiętując później pochodzenie i przeznaczenie swoje, lubił Jan Sobieski zatrzymywać się najdłużej nad tem przekazanem sobie posłannictwem w historyi“ — „o wziętym po przodkach powołaniu Mściciela osobne zostawił pismo“ poczynające się od słów: „Nie wspominam innych wielkich ludzi i wielkich expedycyi z Moskwą, Szwedami i innemi tego królestwa nieprzyjaciołmi, a tylko wojny pańskie chcę wspomnieć i tych co ziemie pogańskie skropili krwią swoją, a mnie dali i zostawili okazyą zemsty i niby jakąś przyrodzoną domu mojego z pogany antypatyą“.

We 22 lat po śmierci Marka oddał naród Janowi Sobieskiemu koronę, a on zamiast na koronacyę pospieszył w długą walkę z Tatarstwem i Turkami na Ukrainie. Złamawszy ordę u Bracławia gnał on ją aż do pól batowskich, a kiedy tu spoczął na jednej mogile przystąpił doń hetman Jabłonowski i rzekł: „Bóg z tobą, najjaśniejszy Panie! pomściłeś dziś wspaniale brata swojego“.

Dalszych czynów naszego bohatera nie kreśli p. Szajnocha w tem opowiadaniu, więc z niecierpliwością czekamy dalszych opowiadań. — W pracy historycznej którą mamy przed sobą, przedziwnie się połączyły wszelkie warunki wymagane przez uczonych z ową ujmującą formą, co książkę każdemu przystępną czyni. — Czytelnik mniej uczony znajdzie tu wszystko dostatecznie objaśnionem, a objaśnienia te nie zniżą uczonego, owszem będą częstokroć i jemu pożądane. — W opowiadaniu streszczonem musieliśmy pominąć wiele ciekawych przedmiotów. Wskazane tam szlaki, któremi wtargało tatarstwo, prześlicznie skreślona ledwo dotknięta przez nas postać Reginy Żółkiewskiej, podana szczegółowa wiadomość o strasznym rzeczypospolitej Kantemirze-Baszy i szczęśliwym jego pogromcy Stefanie Chmieleckim, co ze sługi domu Zamojskich rychło się wyniósł na kijowskiego wojewodę, i umieszczone tu inne rozliczne wiadomości czyniące to opowiadanie ciekawem, nauczającem i zajmującem.

W pracy tej jak i w poprzednich dziełach Szajnochy ścisła sumienność. Historyk ten pojął, że nauka dla innych może być środkiem ale literatowi powinna być celem, więc przez próbę ścisłej nauki i surowej krytyki przejść u niego musi każden szczegół nim go poda drugim. Poszukując jasnej prawdy, nie da on się unieść stronniczym zapatrywaniom, nie nadrabia fantazyą, ale zbiera okruszyny tej prawdy roztłuczone na drobne atomy, oczyszcza, próbuje, przymierza i skleja je w całość budząc żywy obraz przeszłości. Liczne przypiski, które autor wysunął na koniec dzieła, ażeby służąc uczonym nie zawadzały innemu czytelnikowi wskazują liczne źródła, z których czerpane tu wiadomości. Historyk nasz musi kilkakroć prostować podania innych, ale w całem opowiadaniu nie masz ani słówka polemiki, przypiski tylko wskazują, gdzie sprostowanie konieczne.

Do szczegółów, których dochodzenie wiele mozołu kosztowało, należy także data urodzenia naszego Mściciela. Podawano powszechnie prawie jako tę datę dzień 2 czerwca roku 1624, choć gdzieniegdzie wymieniano rok 1629. Pan Szajnocha dowiódł, że pierwsza data jest mylną, a druga co do roku prawdziwą. Dnia urodzenia nie mógł dojść nasz historyk, a metryki w Olesku, miejscu urodzenia Jana Sobieskiego, do których dotarł, także go oświecić nie mogły, bo jakto dowiedzieliśmy się na miejscu, karta metryki, na której chrzest późniejszego króla był zapisany, darowaną została przez dawniejszego proboszcza jakiemuś amatorowi-literatowi. Nie pierwszy to nadybujemy szczerb w dziejach naszych zrządzony takiem amatorstwem. Niszczyli niegdyś Muzułmanie, Szwedzi i inni najeźdźcy nasze pamiątki dziejowe, niszczyło je częstokroć nasze niedbalstwo, ale w ostatnich czasach nie mało takich pamiątek zniszczyło amatorstwo. Nieukom przypadła do smaku rola archeologów i pod pozorem opieki, uwozili ślady przeszłości z miejsc

właściwych, gdzie jedynie za takiemi ślady każden się zwraca, aby je skazać na zapomnienie albo zniszczenie. — Takąto krzywdę zrobił amator panu Szajnosze, i brakło mu jednej okruszyny przy sklejaniu obrazu dziejowego.

L.

Rocznice historyczne.

26. czerwca 1295 r. — Koronacya Przemysława.

Dwa wieki przeminęło od chwili, kiedy dziedzina Bolesława Chrobrego po raz ostatni obchodziła uroczystość koronacyi króla swego. A ileż to różnobarwnych zdarzeń, ile srogich burz nie przeleciało od tego czasu nad wspaniałem siedliskiem orła białego! Toż jakby na zakończenie tej najdramatyczniejszej epoki dziejów, tej dwuwiekowej walki różnych żywiołów, różnego ducha, przyświeca jasna chwila zwycięztwa, odradzania się narodu do dawnej świetności i potęgi, tak uroczo uwidomiona w dniu koronacyi króla Przemysława.

Lecz po nader ciernistej drodze dążył naród do owej chwili zbawienia. Wraz niejako z postradaniem godności królewskiej przez Bolesława Śmiałego, rozpostarła czarna niedola upadku szerokie całuny nad całym krajem. Szczególniej zdobyczy żądna Rzesza giermańska parła coraz silniej ku wschodowi. A zaledwie bohater Krzywousty powstrzymał jej kroki traktatami bambergskiemi, gdy nowe po jego śmierci rozdrobienie państwa, do tego nieszczęsne nieporozumienia domowe i wroga hydra giermańska wszczęły srogą burzę w samych wnętrznościach kraju. A jednak nieśmiertelny duch narodu przetrwał owę długą, morderczą walkę, przetrwał niejedno konanie i odżył w końcu świetnie, aby spełnić wielkie historyczne posłannictwo swoje. Tak już z wystąpieniem Przemysława, książęcia wielkopolskiego zaczęły się wypogadzać pochmurne losy Polski. Po przyłączeniu Pomorza do Wielkopolski, przyszło Przemysławowi przyozdobić podniesioną godność koroną, jako przejednawczym darem stolicy apostolskiej, posiadającej zwierzchniczą władzę nad wszystkiemi ówczesnemi państwami.

Odebranie godności królewskiej przez stolicę apostolską, jako karę za popełnioną zbrodnię na św. Stanisławie, odpokutowała już Polska wielą ofiarami, wielą dowodami najkorniejszej uległości. Toż i przejednana stolica apostolska skłaniala się chętnie ku życzeniom polskiego narodu i króla. Lecz nierównie silniejsze zawady stanęły w drodze zbawiennemu dążeniu Przemysława. Był niemi czeski książe Rzeszy niemieckiej teraz jeszcze i pan ziemi krakowskiej, najgorliwszy pretendent do kraju polskiego; byli królowie niemieccy a cesarze rzymscy, roszczący sobie zawsze prawo zwierzchnictwa nad Polską, szczególniej zaś teraz jako zwierzchnicy pana ziemi krakowskiej i książąt szlązkich; byli w końcu sami owi piastowscy książęta na Szlązku, najmocniej przeciwni wyniesieniu się Wielkopolski.

Śród takich okoliczności ujrzał się Przemysław zmuszonym użyć fortelnego sposobu, i kiedy mu wrota do otwartego działania zaparto, podstępem uskutecznić swoje zamysły. Szczęśliwem zdarzeniem losu ofiarował mu się do tej usługi magister Aleksy, niegodny poufnik Wacława, jednego z najzaciętszych wrogów zamiarów Przemysławowskich. Ten więc magister przybywszy do Rzymu w interesach własnego pana wyjednał Przemysławowi oficyalne dozwolenie odnowienia koronacyi.

A gdy tak najgłówniejsza przeszkoda usuniętą została, zakrzątnął się Przemysław około świetnego obchodu, i zawezwał mnogich dostojników państwa polskiego do Gniezna. — „Chętnie więc zjechała na dzień świętego Jana roku pańskiego 1295“ — czytamy w prześlicznem opowiadaniu dziejów czasu owego — „wszystka szlachta wielkopolska, wysłańcy szlachty krakowskiej i większa część duchowieństwa całej Polski do starożytnego Gniezna. Byli tam arcybiskup Jakób, biskupowie: krakowski Muskata, poznański Jan Gerbicz, kujawski Wisław, wrocławski Romka. Wydobyto starą Bolesławów koronę, od czasów Śmiałego w ścisłej straży kościoła gnieźnieńskiego chowaną. A w niedzielę po św. Janie, w 271 lat po koronacyi pierwszego króla Polski Chrobrego, w 217 po ostatniej koronacyi Śmiałego, arcybiskup Jakób w asystencyi pomienionych biskupów, w obliczu tłumnie zebranego narodu, namaścił i ukoronował Przemysława z małżonką szwedzką Ryksą, a rycerstwo okrzyknęło wielkopolskiego książęcia królem. Po latach upadku, zaćmienia i obłędu zaświtała znowu przewodnia gwiazda na widokręgu Polski; ojczysty orzeł biały, ukryty potąd w mroku, wzbił się znowu ku słońcu i roztoczył skrzydła ponad całym narodem. W widomy tego wyraz sporządzoną została pieczęć królewska, mająca na jednej stronie orła polskiego z godłem: *On to swoim Polakom zwycięzkie przywrócił znaki;* po drugiej zaś stronie wizerunek królewski z napisem: *Pieczęć Przemysława, krola Polaków, księcia Pomorza.*“

B. K.

* Panna Helena Zawiszanka uprzyjemniła nam znowu jeden wieczór ostatniem?) swojem wystąpieniem we Środę dnia 13go Czerwca. Nie pamiętamy już oddawna takiego zapału, z jakim licznie zgromadzona publiczność przyjmowała śpiewaczkę, która jakąś demoniczną siłą owładnęła serca wszystkich. — Pomiędzy aktami ulubionej naszej „Zemsty“ śpiewała panna Zawiszanka kawatinę z opery „Faworyta“ Donizettego po polsku, aryę z opery „Hrabina“ i drugą z „Halki“ Moniuszki, wreszcie piosenkę Troschla „Bocian“ i „Kujawiaka“ J. Komorowskiego. Ogrom uczucia występujący w nadzwyczajnie subtelnych odcieniach głosu, siła i pewność siebie, wreszcie jakaś akcya dramatyczna w tym głosie a przeważnie jakiś wdzięk polski, ojczysty: oto przeważne cechy śpiewu naszej znakomitej artystki, oto owa siła demoniczna, którą nas niewoli i do entuzyazmu pobudza. — Niesłychany był zapał publiczności po zakończeniu „Kujawiakiem“. Grad bukietów i wieńców poleciał na scenę usłać się pod stopy polskiej śpiewaczki. Niesłychane okrzyki i oklaski zmusiły artystkę ukazać się napowrót. Lecz jakąż miłą niespodziankę zrobiła nam p. Zawiszanka gdy ukazawszy się z rzuconemi jej wieńcami na ręku, uwitemi z róż i dębowego liścia o wstęgach narodowej barwy, zaśpiewała nam piosenkę „Wojak“ Stefana Witwickiego, (muzyka Szopena). Po ostatniej zwrotce:

Słyszę jeszcze sióstr wołanie,
Zwróć się, koniu, stój!
Niechcesz? Lećże. Niech się stanie!
Leć na krwawy bój! —

nie miał już granic zapał publiczności. Po kilkakroć musiała się ukazywać śpiewaczka, a głosy „zostań! nie odjeżdzaj!“ najlepsze dawały świadectwo jak ją pokochała publiczność nasza.

Z powodów od redakcyi nie zawisłych opóźniło się wydanie dzisiejszego numeru „kółka rodzinnego“.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z drukarni E. Winiarza.